Numer 35. Należ. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 30 Sierpnia 1931**



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Kłopoty budowlane.

— Jakże, panie Jacenty, zdrowie?

— Cegła zdrożała grubo.

— A żoneczka pana dobrodzieja?

— Blada, krucha, niewypalona i nawpół — z piaskiem.

— Ależ ja pytam pana o zdrowie, nie o cegłę?

— E, mój panie, czy człowiek, który stawia kamienicę, może myśleć o jakiemś tam głupiem zdrowiu?



To wyśmienite.

Pewien pastor amerykański wygłosił na publicznem zgromadzeniu płomienną mowę przeciwko alkoholowi. Aby tem dobitniej przedstawić zgubne skutki tej trucizny, włożył w stojącą na stole butelkę wody żywego robaka, który pływał w niej wesoło. Gdy natomiast wpuścił tego samego robaka do butelki z wódką, biedne stworzenie wiło się w straszliwych boleściach.

Po ukończeniu wykładu pastor oświadczył gotowość odpowiadania na wszelkie zapytania z pośród słuchaczy. Zgłosił się więc jakiś starszy człowiek z zapytaniem, jakiego gatunku była wódka, w której robak przechodził tak straszne męczarnie. Pastor zdziwiony, odpowiada, że była to szkocka „brandy".

— To wyśmienicie — krzyknął ów człowiek — bo ja właśnie cierpię na robaki.



„Polityk".

Rozmawia sobie Kuba z Bartkie mo polityce. — Kuba po długich wywodach Bartka tak rzecze:

— Widzisz, Bartku, w polityce to ja myślę, że to tak jest: Albo będzie, albo nie będzie, albo kto wie, jak będzie.

W sądzie.

Sędzia: Najlepiej zrobisz, gdy się przyznasz! — Pamiętaj, że prawdą najdalej się zajdzie!

— No, nie zawsze! Jakbym ja się n. p. przyznał, żem tego konia ukradł — tobym ani kroku nie zrobił — bo wiem, żeby mnie pan sędzia zaraz zamknąć kazał!

Gościnność.

— A, doskonale, żeś przyszedł! Ale wybacz, że nie będę mógł poczęstować cię czem z tego, co tak bardzo lubisz, gdyż żony niema w domu.

Numer 35. Rok XIV. Kraków, dnia 30 Sierpnia 1931.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.

Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Czytelnictwo u nas...

Nie wiem, czy cofamy się, czy idziemy naprzód... Natomiast wiem, że czytelnictwo u nas uważane jest za coś takiego, bez czego można się obejść. Dziwimy się potem, że w wielu sprawach nie orjentujemy się należycie, że działamy pod chwilą wpływu, czasami bardzo niefortunnie. I tu są właśnie bardzo ważne powody. Wielu ludzi nie umie czytać, ani pisać. Na zachodzie mniej może, na wschodzie więcej... Są dosłownymi analfabetami. Starsi ludzie bardzo dotkliwie ten brak odczuwają. Pamiętam dobrze dawne lata. Gdy przyjechałem ze szkół na wakacje, moja matka nieboszczka, Panie świeć nad jej duszą, czytała drukowane litery z wielkiej książki do nabożeństwa. — W żaden sposób nie umiała napisać listu do synów, ani też przeczytać. Szła z tem do pisarza małomiasteczkowego, którego zwano sekretarzem gminnym. — Nie na rękę jej to było, bo nigdy z jego pisania nie była zadowolona, a ściśle familijnych rzeczy nie chciała dyktować. Raz mówi do mnie mamusia: „Franuś, naucz mię pisać!" „I owszem mateńko". Za pierwszym razem wyuczyła się pięciu liter. Niekształtne to były gryzmoły, ale zawsze można było je przeczytać. Najgorzej było z łączeniem samogłosek ze spółgłoskami, a później wielkie litery. Jednak nadspodziewanie wszystkie trudności zostały pokonane tak dalece, że pierwszy list do mnie matusia napisała. Oczom swoim nie wierzyłem. Ledwiem go przesylabizował. Ale nieboszczka matka bardzo się cieszyła z tej umiejętności. Gdy przyjeżdżałem później na święta czy też wakacje, mówiła mi zawsze: „Widzisz, Franuś, tyś skończył czwartą łacińską, a ja ukończyłam szesnaście!" Miał to być symbol życia dojrzałego i mądrego, bo ja wówczas owej tezy nie rozumiałem.

Widać z powyższego, że święci garnków nie lepią. Trzeba tylko chcieć i mieć silną wolę... Kto miesięcznie nie wydaje nic, albo wreszcie daje na czytelnictwo kilka groszy, ten nie może mieć o niem szerszego pojęcia! Jak długo nie nabierzemy przekonania, że wydatek na czytelnictwo jest tak samo niezbędnym, jak na codzienną strawę i dopóki naród nie rozmiłuje się w drukowanem słowie, tak długo nie możemy spodziewać się narodowej siły, narodowego ducha i narodowej jedności! Czem nas, Polaków, pobijają n. p. Niemcy? Czytelnictwem — wytrwałą pracą i systematyką! Kto potrafi temu zaprzeczyć, niech podniesie rękę do góry. Cisza...., nikt nie zabiera głosu, ponieważ każdy czuje intuicyjnie, że prawda jedzie na prawdzie i prawdą pogania. Niestety i od wrogów należy się uczyć dobrych rzeczy. A u nas? — Mój Boże! Litość bierze... powrotny analfabetyzm u bram Polski odrodzonej. Nie wchodzę w przyczyny i powody. Niech ludzie kompetentni zabiorą w tej sprawie głos, bo wróg ciemnoty puka do nas...

Mówią, że urzędowi światłodawcy są przeciążeni pracą — a straszna gruźlica dziesiątkuje tych dobrych ludzi, niosących „kaganek oświaty". — Jeżeli tak, to społeczeństwo polskie wraz z czynnikami miarodajnemi powinny rychło zbadać stosunki. Inaczej będzie zapóźno... Nie można przejść nad tą sprawą do porządku dziennego. Inaczej pracownicy ci pożyteczni dla państwa i narodu stracą wiarę i psychicznie załamią się, a wystąpi melancholja, a wraz z nią czarna rozpacz. Wtedy naprawdę byłoby źle.

Powiadają filozofowie, że człowiek nie jest maszyną ze stali, bo i ta po jakimś czasie zużywa się. Ze względu więc na potęgę państwa odrodzonego i dobra narodu polskiego, trzeba koniecznie usunąć przyczyny zła. I wierzę mocno, że tak się stanie! Nie mogę pisać w tym wypadku „mniejsza o to" — tylko „większa o to!" Szkoła bowiem, czytelnictwo, czyli wogóle

oświata narodowa powinna być w sercu każdego Polaka tak kmiotka, mieszczanina oraz inteligenta największym skarbem, którym szczycą się wszystkie narody cywilizowane. Czytać — to znaczy wiedzieć — czytać więcej, wiedzieć więcej... — czytać różne pisma — to właśnie oświata. Ale wielu z nas zasklepia się w pojęciu jednostronnem, to jest partyjnem. Tego nam czynić nie wolno, ponieważ w takich warunkach praca zbiorowa nie będzie możliwą. Naczelnicy władz, przedsiębiorstw i każdy, kto ma wpływ na większą ilość pracowników, powinni zalecać im czytelnictwo, propagować wiedzę, będąc im sami wzorem i przykładem. Ani jedno miasteczko, ani jedna wioska nie powinna być bez własnej czytelni! W mieście zaś wszystkie kasyna, związki, zrzeszenia i towarzystwa powinny posiadać po kilkanaście pism, a kawiarnie i restauracje niechaj również mają dla gości wiele gazet i pism ilustracyjnych. Jeżeli tam, w tych lokalach traci się setki i tysiące dla brzucha, niechże za te pieniądze, chociażby w skromnym zakresie mają ludzie pokarm dla ducha! Nie wolno zapominać, że czytelnictwo jest nam koniecznie potrzebne, jak niezbędnem jest ono wszystkim wielkim i kulturalnym narodom. Wiemy bowiem wszyscy, że „potęga ciała jest w potędze ducha —nawet słoń wielki karzełka usłucha....“ Radosną więc nowinę wieścić należy... — Oto w Polsce tak w szkołach powszechnych, jakoteż i średnich czytelnictwo rozwija się wcale pomyślnie, — dzięki niezmordowanej pracy i usilnym staraniom nauczycielstwa, któremu wdzięczność i cześć się należy. Trzeba bowiem samemu być świadkiem, z jakiem zainteresowaniem czyta dziatwa szkolna doborową lekturę, jak się znakomicie kształci jej umysł, rozwija inteligencja, jak w łatwy sposób nabiera ona mnóstwo wiadomości, jak gładko, płynnie i elastycznie czyta i opowiada, jak wreszcie praca wychowawcza nauczyciela staje się znacznie łatwiejszą w takiej szkole, gdzie młodzież zasmakowała w dobrej lekturze, która kształci uczucia, wolę i... charakter.

O jeden tylko szkopuł rozbija się u nas czytelnictwo. Oto zewsząd słychać skargi światłodawców, że gminy nie chcą przyczyniać się choćby najskromniejszym datkiem na zakupno książek dla bibljoteki szkolnej, wymawiając się ustawicznie brakiem pieniędzy. Rozumiem, że wszędzie jest bieda — i u nas też na wsi — ale przecież przy dobrej woli grosz na ten cel powinien się znaleźć. Wszak to dla dzieci ludu polskiego — słyszycie?

Na oświatę nie żałować grosza! *Fr. J. Tr.*

W pamiętniku...

I.

Nie!... Ty nie płacz i wiecznie nie szlochaj dziewczynko!
I nie mów, że stale trza płakać na świecie —
Wiesz co?... Jutro nim słońce rosę z ziemi zmiecie
Dzień zacznij wesołą, beztroską piosenką!...

II.

Chociaż mozoł mego życia taksamo jest ciężki,
Do wiecznego smutku mam jednak pogardę...
— Codziennie ja się włóczę wzdłuż słonecznej ścieżki —
...Posłyszę więc Twą piosnkę i Ciebie odnajdę!...

Jacek Orlik.

Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

I uczuł ból, że w tem uzyskaniu wolności nie dostrzegł ręki Halszki, że ona w dal jakąś osuwała się, że ramion swych do niej wyciągnąć już nie może, że tamta bojem wstępnym po jego serce sięgnęła i bądź co bądź, nierozerwanym łańcuchem przykuła do siebie. Teraz, gdy tracił Halszkę, uczuwał nieprzemożony żal po niej; teraz zdawało mu się, że tylko jej serce do niego należeć powinno, to serce, które pozbawił spokoju zjawieniem się swojem. — „Pies jestem, jeżeli nie będę twój!“ — powiedział Halszce w dniu rozstania — i ona uwierzyła tym słowom, a on nie może być jej, choć pragnie być jej. Między nią a nim stanęła ta druga — dała mu wolność, wykupiła od śmierci męczeńskiej, sama pozbyła się wszystkich wygód życia, bogactw, do których od dzieciństwa przywykła była — bo miłuje go, miłuje na śmierć!... A on?...

Plichta przypomina sobie chwile spędzane w domu Mitrasów — i — oszukiwać siebie nie chce: dobrze mu było z Admą. Łokieć Ibraima pewien mu wstręt czynił, ale teraz wyszlachciła się twarz kupca, teraz „panem ojcem“ nazwać go można bez obrazy szlachectwa swojego.

Dziwno Plichcie, że tak dostojnie Mitras wygląda; dziwno, że ta twarz ospała, obrzękła, z oczyma żmijkowatemi, mogła spojrzeć szlachetności wyrazem. Musiał wszystko oddać, by takiego Kantemira kupić, a to niebywała rzecz u Miecza Krwawego. — Wstrętny mu się teraz wydał ten murza tatarski, wstrętniejszy stokroć, niż wtedy, gdy go na pal wieść kazał. Barbarzyńcą był, lecz się nie zniżył do plugawej roli przekupnia!

Tak medytując, ani nie zauważył, jak przyniesiono mu pilam wonny, baraninę pieczoną, owoce i sorbet. Plichta obrzydzenie uczuł i taka złość go porwała, że chciał nogą kopnąć naczynia i za drzwi wyrzucić niewolnika, przynoszącego mu jedzenie — ale za głodny był, ażeby na podobny eksces mógł się zdobyć.

— Przekupień nędzny! — mruczał, do pilawu się zabierając. — Głodem mnie morzył, psubrat! — szeptał, baraninę jedząc. — A teraz, otrzymawszy bogactwo Mitrasowe, sorbetem karmi, potępieniec piekielny! — sapał, smakołykiem delektując się.

Czuł jednak, że to wszystko na zdrowie mu poszło, że rozkoszny sen zaczyna powieki łechtać, a od tylu miesięcy już nie spał, od tylu miesięcy zbiedzonych nie wyciągnął członków.

— Jutro w podróż do swoich, do Polski — a teraz spać, spać, spać!...

Wydał rozkaz Giłł-Gułłe, by do stajni szedł i rumaka jego opatrzył, a sam runął na sofę i chrapać począł. Przed zaśnięciem marzył o Admie, Halszka usunęła się w cień — a on szeptał:

— Moja będziesz, ty, Adme! — tak Bóg chce!

Gdy się obudził, noc była — a obudził go szmer cichy. Jakaś postać niewieścia weszła, zapaliła lampę oliwną i w kącie komnaty na bronzowym postawiła trójnogu. Potem zwróciła się w stronę Plichty, a światło lampy na jej twarz padło. Plichta zerwał się z krzykiem i zawołał:

— Adme!...

Postać niewieścia uchyliła resztę muszlinów osłaniających jej lica — z pod zawoju błysnął włos kruczy, z pod długich rzęs rubiny oczu.

— Ty tutaj, Adme! — powtórzył Plichta i do widma poskoczył.

— Mylisz się, rycerzu, nie jestem nią, choć bardzo jej bliską — odpowiedziało widmo.

Białość popiołów okryła twarz kobiety, usta blade, wąskie drżały nerwowo.

Plichta o krok jeden zatrzymał się od niej i szepnął:

— Oczy Admy... twarz Admy...

— Tylko lata nie Admy — cień odparł.

Plichta mówił po polsku, mara odpowiadała po polsku.

— Tak, tak, — wyszeptał pan Konstanty — tylko lata nie Admy... Ale kto jesteś ty, mów — na Boga! bo zmysły stracę!... kto jesteś ty?

— Matka tej, której imię tu wspominasz...

Plichcie w piersi dech zaparł się.

— Matka — chrześcijanka — niewolnica — sługa Krwawego Miecza — cóż chcesz waszmość? — mówiła kobieta. — Przysyła mnie tu do ciebie mój pan, ażebym go oczyściła przed tobą z podejrzeń przekupstwa. Jam przyszła jeszcze z klątwą, którą na głowę Ibraima Mitrasa zaniesiesz. Nie blednij, waszmość — dawna to historja, ale się ciągnie po dzień dzisiejszy, jak czarny sznur, jak piekła krwawy cień!...

— Okrutnie mi śpiewasz, waćpani, ale praw, nie zważając na bladość mojej twarzy. Zdumienie to, nie strach... Imię twoje?

— Hilda!...

— Dzieje twoje?

— Krótkie...

—Urodziłaś się?

— W Polsce.

— Dawno już być musi, jak waćpani w jasyr popadłaś.

— Lat temu dwadzieścia będzie, jak Kantemir zobaczył mnie w Stambule, dokąd przybyłam z Ibraimem Mitrasem, mężem moim. Byłam piękna — Miecz Krwawy rozszalał się we mnie. „Daj mi ją“ — rzekł do męża mojego. „Kup!“ — odpowiedział Ibraim.

— Jezus, Marja! — zawołał rotmistrz.

— Pojmujesz, co to znaczy być niewolnicą Tatara.

— Sakramenta wszystkie — ratujcie! — ryknął Plichta.

— Mitras wziął wór złota — mnie odprowadzono do Kantemira haremu.

— Kończ, bo się zbiesię! — wołał rycerz.

— Krwawy Miecz gołębiem był dla mnie. I gdyby nie ta cisza haremu, ta pustka życia, ta tęsknota za Polską — mogłabym znaleźć szczęście. Sprzedano mnie, haniebnie sprzedano! Miecz Krwawy wór złota dał — i słowo, że wszelkie Ibraima żądanie spełni!... Tak miłował mnie! I dziś nie za złoto ciebie oddał. Ibraim o słowo się upomniał i on — dotrzymał słowa. Pierwszy ty i ostatni z rąk jego wychodzisz żyw.

— Żona Mitrasa... matka Admy... sprzedana murzie tatarskiemu... — szeptał Plichta. — Patrz! włosy mi na głowie powstają, bo ty nie wiesz, że ja... że ona... Piekło mi rzuciłaś do piersi.... piekło!...

— Pomyśl, że ja przez lat dwadzieścia takie piekło w piersi swej miałam... — odpowiedziała Hilda. Tarzałam się, wyłam i darłam szaty na sobie. Ale trzos był pełen! Stąd bogactwo Mitrasa i wiano Admy, okupione hańbą jej matki. Ona może nic nie wie, ale w niej Ibraima krew płynie.

— Krew Ibraima — tak, tak! — powtórzył Plichta.

— A jednak Miecz Krwawy gołębiem był dla mnie — i gdyby nie ta cisza, nie ta pamięć dnia hańby, nie ta tęsknota za Polską, mogłabym mieć szczęście... — powtórzyła zaledwie dosłyszalnym głosem.

— Umykaj ze mną!

Hilda wzruszyła ramionami.

— Po co?... — szepnęła — tam nie ma już nic mojego!... Mąż nędznik, dziecko nie znające matki... a klątwę na dom Mitrasów i ty potrafisz rzucić...

Usunęła się między fałdy kotary — i znikła.

W głowie czuł zamęt, w sercu rozdarcie, zdawało mu się, że jest obłędu bliski. Postać Krwawego Miecza, dotrzymującego raz danego słowa przez miłość do niewolnicy, dla której gołębiem był, wyolbrzymiała naraz — natomiast wstrząsnął się na wspomnienie Mitrasa, jakby jakiegoś plugastwa dotknął. Chciał bronić Admy, ale nie mógł; krew Ibraima i w niej płynie! Niewinna jest — a osądzona; szarpie się z bólu — dla niego, a on ją odtrącić musi... krew Ibraima i w niej płynie... Klątwa matki spoczęła na domie Mitrasów. Precz z myśli, precz z serca, na wieki, na wieki — precz!

Gdyby miękkie kobierce nie kradły odgłosu kroków Plichty, myślanoby, że lew się miota zamknięty w klatce żelaznej. Oddech miał szybki, krwawe wypieki na twarzy, serca tętno nierówne, gnębiący w piersi ból. I gdy postać Admy osuwała się w mgłę i w ciemność zapadała — ryk jakiś wydobywał się mu z wnętrza, jakby żal, że teraz ją traci. Ale uspokoił się, na klęczki runął i pocieszenia w modlitwie szukał. W domu tatarskim nie było obrazu świętego, więc z zanadrza wydobył krzyżyk przez Halszkę mu dany, do ust przycisnął, i głośnem łkaniem wybuchnął. Modlił się długo, w krzyżyk ten patrząc, aż pokrzepienie przybyło i spokojem wielkim zajaśniało na obliczu rycerza.

— Teraz twój jestem, Halszko Jaszczołdówno — na wieki twój!... — w głos rzekł.

W dłoń klasnął — wszedł Giłł-Gułła.

— Konie! — tatarski wyskrobku! — dość mam już Bakczeserajowych rozkoszy!

XIII.

Świt rumiany ubarwił niebo, srebrna gwiazda jutrzenki paliła się na tle purpurowem, gdy rżenie rumaków zawiadomiło Plichtę o upragnionej chwili wyjazdu. Do komnaty wszedł Agaj-bej, druh Kantemira, obecnie towarzysz pana Konstantego do granicy Tatarskiej.

— Salamalelkum.

— Alelkumsalam — odpowiedział Plichta.

— Jedziesz, effendim?

— Jadę, Agaj-beju.

— Wspominajże uczciwie o nas, effendim.

— Jak zasłużyliście na to, tak was wspominać będę, Agaj-beju — odpowiedział Plichta, ręce obie do góry podnosząc i ukazując poniżej dłoni, barwy fioletowo-żółtej, ociekające krwią jeszcze od pęt żelaznych znaki straszliwe. — O tem się nie zapomina, Agaj-beju — dodał.

— Zgoi się — ze spokojem odpowiedział Tatar.

Wyszli przed dworzec i Plichta chciał na koń wsiadać, ale Agaj-bej zauważył, że Kantemir rad byłby go pożegnać. Opierać się było trudno — bądź co bądź, Krwawemu Mieczowi zawdzięczał swoje życie.

Murza siedział na dywanie z podwiniętemi nogami pod siebie, policzki miał obrzękłe, brodę w nieładzie, a oczy w sufit utkwione. Plichta się zbliżył i rzekł:

— Przyszedłem, Kantemirze, pożegnać ciebie i podziękować...

— Sza, sza z podziękowaniem — przerwał murza. Ani mnie, ani sobie, Lachu, przyjemności tem nie

robisz. Widzisz, jakie policzki sine mam, a brodę poszarpaną? Biłem i targałem siebie, zmuszając się do dotrzymania słowa, danego przyjacielowi memu Mitrasowi Ibraimowi, tak mi żal było żywcem wypuszczać ciebie, Lachu, nie obdarłszy ze skóry nawet. Ale spotkamy się jeszcze, a wtedy ty, albo ja — trup!

A Plichta na to:

— Będzie tak, jako rzekłeś, Kantemirze — bo wzajemna jest miłość nasza.

Miecz Krwawy głową skinął — i na tem skończyło się pożegnanie.

Agaj-bej z setką Tatarów przeprowadzał Plichtę, nadskakiwał, honory mu czynił, aż się dziwił tłum tatarstwa, wrzał gniewem, ale milczał.

Słońce strzeliło — w ogrodach białe zakołysały się jabłonie, zapach róż powiał, a z minaretów monotonne, jęczące ozwały się nawoływania muezzinów. Niebo oblewało się złotem, a Bakczyseraj śpiewał...

Opuszczając dworzec Kantemira, Plichta zauważył w jednem z zakratowanych okien seraju postać niewieścią, przypatrującą mu się ciekawie. Poznał ją... Była to Hatfe, ta sama, która nocy zaprzeszłej na brzegu studziennym położyła mu piław i fig kilka. — Skłonił się — postać znikła. Dalej, o kroków kilkadziesiąt, mijając mur ogrodowy, dostrzegł Hildę na blanku stojącą. Na widok tej nieszczęsnej uczuł kurcz serca. Odjeżdżał jako poseł klątwy, która — wierzył, na dom Mitrasów spaść musi. Uniósł czapkę i żegnał, a Hilda pochyliła się, w dłoń wzięła pył ziemi i cisnęła go w powietrze. Plichta zrozumiał ten znak tajemniczy: przebaczenia nie było, rzucała przekleństwo!

Pełniejszą piersią odetchnął, gdy na szeroki wyjechał step. Tu zwrócił się do Agaj-beja i zaczął go rozpytywać o czasie niewoli swojej. Agaj-bej zdumiony był łaskawością Krwawego Miecza, mówił też wiele o Hildzie, która według możności swojej osładzała dolę jeńców polskich. Kantemir pod jej władzą był, a do szaleństwa miłował. To też, by nie ulegać prośbom ukochanej niewiasty, pod grozą śmierci zabronił donosić Hildzie o jeńcach wziętych i kaźniach dokonywanych. Hilda czuła unoszącą się dokoła śmierć, lecz krwawym wyrokom zapobiec nie mogła. Modliła się tylko do swego Jezusa, bo Kantemir wiary jej nie tykał. Piękna była, lecz łzy wyssały jej piękność; dobra była, lecz dobroć jej zmarniała w ciszy haremu. Dowiedział się także Plichta, że Samuel Korecki, zawiadomiony o ujęciu jego, z miljonowym okupem gońców do Kantemira słał, ale ten batami obić ich rozkazał, garść złota do przywiezionego złota dosypał i z tem wyprawił wysłanników kniazia. Pamiętano więc o nim — a mogłaż nie pamiętać Halszka Jaszczołdówna? Jeno ni złoto Koreckiego, ni modlitwy Halszki nie pomogły, a wolność otrzymał. (C. d. n.)

Łóżko śmierci.

(Opowiadanie prawdziwe mojego pradziadka).

Siedziałem na dużym dębowym pniaku, przy starym stoliku. Przez okno wpadały promienie księżycowego światła. To było moją ulgą. Patrzyłem, jak ciemne i siwe wstęgi chmurek przesuwały się, hen w oddali po gwiazdzistem niebie. Inne, nieco już ciemniejsze, biegły szybko wprost na oświetlony księżyc. Chwilami zasłaniały go całkiem, tylko gdzieś z boku wymykały smugi pasm jego światła i padały ukośnie na ziemię. Ponad łąkami nisko rozpościerała się śnieżno-biała mgła. W bagnach i wielkich jarach słychać było rechotanie żab i głosy dzikich ptaków. W gęstych krzakach, gdzieś na uboczu jaru, niedaleko mojej chruścianej chatki, nucił przecudnie każdego wieczora swe bogate, melodyjne pieśni — król śpiewaków, mały słowik, jakby mnie chciał rozweselić, smutek rozpędzić we wszystkie strony świata, do domu wprowadzić radość, wesele, albo też chciał tem wszystkiem przyjść z pomocą i przynieść ulgę chorej mojej matce.

Okno było otwarte. Przez otwór wpadał świeży zapach woni leśnej i ziół. Matka leżała chora, przestała jęczeć, i zdawałoby się, że zapomniała o srogich boleściach, wsłuchując się w czar piękności wieczornej. A jednak nie! Piersią bez ustanku robiła.

Przy łóżku stała najmłodsza moja siostra Maryśka, i obcierała z oczu gęste srebrzyste łzy. Wszyscyśmy przeżywali jeden jednakowy gnębiący nas smutek. Matka nasza leżała blada, sucha, jak szkielet. Głęboko w oczodołach błyszczały jej oczy. Wodziła dookoła — tu i tam. — Och! co za okrutna jej choroba? Wyrzuty na całem ciele wskazywały koniec jej życia. O! jak strasznie i boleśnie było słyszeć jej jęki. A potem nadszedł dzień — dzień nigdy niezatarty w mem życiu.

Późno w nocy, wszyscy staliśmy przy łożu chorej matuchny. Naraz usta jej się poruszyły i wyszeptała cicho:

— Ostatnie słowa, dzieci... i chciała błogosławić kolejno każdego z nas. Rękę podniosła i rzekła:

— Bądźcie Bło... go... sła... wie... ni...

I odjęło jej mowę.

Kilka ciężkich wzdychów śmiertelnych słyszeliśmy. Skonała. Nie mogliśmy tego przeboleć, odżałować straty najdroższej. Łzami pokryliśmy się wszyscy. Świat przed nami stanął w żałobie. Jasne słonko przestało nam świecić. Nad domem krzyczały i krążyły w kółko czarne duże kruki. Wicher za oknem złowieszczo wył, łamał gałęzie, psocił, gdzie mu się tylko dało. Ach! co za kara Boża?

Nie upłynęło nawet dwa dni, a na łóżku leżała już nieprzytomna, najmłodsza moja siostra Maryśka. Miała ona już lżejszą śmierć. Krzyknęła:

— Janku ratuj!

Nim zdołałem się zerwać z pniaka i przybliżyć się do niej, zamknęła oczy. A mnie polały się z ócz suche już łzy. Cóż mi pozostawało? — Smutek — brat i ja.

Niezadługo, gdyż nie upłynął nawet tydzień, a znowu wkradła się „zbójecka choroba". Najstarszego mi brata położyła do łóżka — do „łóżka śmierci". Żal mu było mnie, gdyż nie powiedział nawet słówka, odchodząc. Cicho zasnął. Nie zapomnę tej chwili okrutnej.

Modliłem się dzień i noc. Czy Bóg wszechmogący wysłuchał mej prośby? Skargi i wołania o pomoc płynęły ku Niemu ze szczerego serca. Czy wysłuchał? Tego nie wiem! Sam, jak pustelnik w olbrzymich lasach, przebyłem jeszcze cztery dni. A potem zmówiłem pacierz — znak krzyża świętego nakreśliłem na drzwiach chaty i poszedłem. I już nawet nie spojrzałem na pustą, okrytą żałobą chatę. Została sama, a przy niej trzy świeże mogiły. Nad nimi rozpościerał swe konary, duży dwieścieletni dąb. Może najstarszy ze wszystkich. A ja samotny ze smutkiem szedłem i szedłem przez bory, góry i wody, hen w świat szeroki aż tu w Lubelską ziemię...

Rom-Ort z Wilkołaza.

ZALOTY.



Młodzi ludzie, zdaje się, na całym świecie są jednakowi. Oczywiście mowa tu o tak zwanych ludziach cywilizowanych. Młody zagląda młodej w oczy, póki ich nie rozkocha w sobie, póki ich do siebie nie roz-

pali. Czasem następuje ślub. Nie zawsze, bo zdarza się nieraz, że młode dziewczę żałuje swej łatwowierności, ale już zapóźno. Zresztą i ślub nie przeszkadza na żałowanie minionych chwil. Bo ileż razy ten sam młodzieniec, który przed ślubem wypowiadał na ustroniu czułe zaklęcia miłosne, po ślubie sypie piorunami w stronę niby ukochanej? Ileż razy ta sama dziewoja, która przed ślubem rzucała na młodzieńca strzeliste spojrzenia, po ślubie rzuca garnkiem na jego głowę. Zdarza się rozmaicie. Ale to nic nie przeszkadza w umizgach następnych pokoleń. Wszak umizgał się świętej pamięci Adam do Ewy, a ona doń nawzajem, umizgała się ś. p. pani Walewska do Napoleona i on zapewne czułe jej słówka prawił, umizgały się nasze mamusie do naszych tatusiów, inaczejby nas na świecie nie było, to też umizgi będą tak długo, jak długo świat istniał będzie.

Podobne umizgi, zwane także zalotami, widzimy na naszym obrazku, zamieszczonym na poprzedniej stronie „Roli". Jak widać ze strojów, scena tych umizgów rozgrywa się na ziemi węgierskiej. Ale to nic nie znaczy. Bo czy po węgiersku, czy po polsku, po niemiecku lub francusku, wszędzie jednakowo młodzi się okłamują, gdy co innego sobie czule powiadają, a co innego zgoła mają na myśli.



Jak kto chce mieć porzomną chałupę, musi se ją postawić, jak kto chce mieć obsyrni pola kawał, musi se go kupić, jak kto chce mieć babę, coby zimą nogów sobie nie odmroził, musi se ją kajsi gdziesi wysukać i do jegomości na opowiedzi zaniść. A na wszyćko, co ino człek mieć chce, trzeba piniędzy, piniędzy i jesce osiem razy piniedzy. Bo przecie ani chałpy, ani pola, ani nawet baby, choćby najmorowsy człek to nijak ukraść ni moze, ino wszyćko tak, cy inacyj trzeba kupić. O ukradzeniu chałpy, albo pola to juz i gadki nima, a kradziona baba, to jesce gorsa jak kupiona.

Co pomniejse rzeczy, to tam nieraz i ukraść można. Wiadomo, że żadna kradzioną rzec nie tucy: to i kraść nie warto. To tez teraz ludzie wcale nie kradną, bo ni mają co i komu, a choć się jem tam casem do pazurków jaka cudza rzec przylepi, to nie nazywają tego kradzieżą, ale pożyceniem sobie, znalezieniem i rozmaicie inacej.

Cy tak, cy tak, to wiadomo wszyćkiem na świecie, że kuździusieńką rzec, jaka ino gdzie jest, to można albo kupić, albo wreszcie ukraść. A przecie jest jedna taka rzec, którą chcą mieć wszyscy, a której nietylko kupić, ale i ukraść ni mozna. A jest nią rozum.

Co poprawda, to nima takiego człeka, któryby się przyznał do tego, że ni ma rozumu. Przeciwnie, im człek głupsiejsy, to zdaje mu się, że ma więcej rozumu. Udaje mądralę, a jest głuptalą. Bo i jakże! Wiadomo przecie, że jak człek rodzi się bez portcąt, bez kosuliny, tak samo rodzi się bez rozumu. Małemu bejusiowi mogą sklecić matsia portcęta z tatusiowych portasów, kosulinę z własnej kosuli itp.., ale jakoże matsia albo tatsia moze dać swojemu bejdusiowi choćby krztynkę rozumu, kiej go sam ni ma.

Co bogatsi, to se w tym razie radzą tak, że swojego kanacka posyłają do skół, gdzie różne ucone prefesury wliwają mu, nieraz i przemocą, rozum do pały. I wiadomo, że nieraz nawet z syna bylejakiego pośturkajły wsiowego wyrasta człek ucony, który nieraz rozumem i najjaśniejsych hrabiów przewyżsy. Byli prefesurami na uniwersytecie synowie chłopscy, byli ministrami, byli uconemi księżami, bo się o ten rozum, którego jem matusia, ani tatuś dać nie mogli, postarali we świecie.

Ale to są wyjątki. Większość umysłów dzieci wiejskich, to jak ta rola przydrozna, padnie na nią ziarko pszenicki, urośnie pszenicka, padnie kąkol, urośnie kąkol, przyniesie wiatr ziarnko ostu, wyrośnie oset. Tak samo i w umyśle wiejskiego dryblasa: co tam padnie, to wyrośnie, a ze sposobności do padania rzecy gorsych jest więcej, to tez w umyśle takiego śturkaca wyrasta więcej rzecy złych aniżeli dobrych. Dziwują się potem ludzie, dziwuje się i on sam, lacego tak jest, nie inacyj. I nieraz zdarza się, ze jeden i drugi chciałby mieć więcej rozumu, ale nie wie, skąd go wziąć. Bo kupić nie można, ukraść ni można.

A rozum ludzki to jak ta ziemia rodzajna. Aby na niej z zasiwu zbirać jakie takie urodzaje, trzeba ją koniecnie nie ino uprawić, ale i znawozić. Inacyj będą na niej tylko same chwasty wyrastały. Tak samo jest i z rozumem ludzkiem. Choćby kto miał głowę jak marjacka brama, albo florjański kościół, — choćby było w niem mózgu, jak... nakichał, to w tem mózgu nic nie wyrośnie, jak on nie będzie znawozony. A takiem nawozem, jak na gront nawóz koński, cy bydlęcy, dla mózgu są skoły i gazety, a książki.

Trudno, aby człek całe życie do skoły chodził, bo potrafią to ino same prefesury. Zwykły człek ino w młodości powącha trochę nauki i przeważnie na tem końcy. Jest to tak samo, jakby bez rolę twoją przeleciał wonny zapach świński, abo bydlęcy. Przeleci i nic z niego nie zostanie. Tak jak rolę rodzoną, tak samo umysł ludzki trzeba stale i dobrze nawozić. — Kto chce, aby rozum jego wydawał coraz obfitse owoce, powinien ten rozum bez przerwy nawozić cytaniami książek i gazet, podlewać wiadomościami ze świata, plewić go z chwastów głupoty, zasadzać pożytecne roślinki wiedzy i umiejętności.

Powie może niejeden, że robiłby to chętnie, ale brak mu piniędzy na książki i gazety. Ejze, znowu taki brak? Na zimniacki, na chlebuś, na barscyk, to choćbyś miał z pod ziemi wydrzyć, to wydrzes i nic w tem dziwnego, bo ciało, aby zyło, karmić trzeba. Ale i przecie druga połowa twej istoty i to połowa ważniejsa, jaką jest dusa, która przebija się na ten świat w rozumie, potrzebuje takze pokarmu.. A jakze mało ludzi o ten pokarm się stara. Mało jest takich, którzyby się starali z pod ziemi wydrzyć na pokarm dla tej dusy. Mało jest takich, ale duzo takich, ze za gros, który im pozostanie od pokarmu cielesnego, wolą se trochę pofajcyć, albo kupić śmierdziuchy, aniżeli kupić sobie za to pokarmu la rozumu, la dusy.

Jeżeli już nawet w dzisiejsych czasach książki są za drogie, to przecież gazety naprzeciw inksych rzecy są taniuśkie. Za trzy jajka możes mieć gazytkę co tydzień, za kawałek spyrki będzies ją miał na cały rok. A jesce pomiędzy pokarmem cielesnem a pokarmem duchowym jest ta różnica, że pokarm cielesny dziś zjes, a jutro on wyleci i nigdy do ciebie nie wróci, podcas gdy pokarm duchowy, raz spożyty przez człowieka, pozostaje on w niem na wieki wieków amen.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

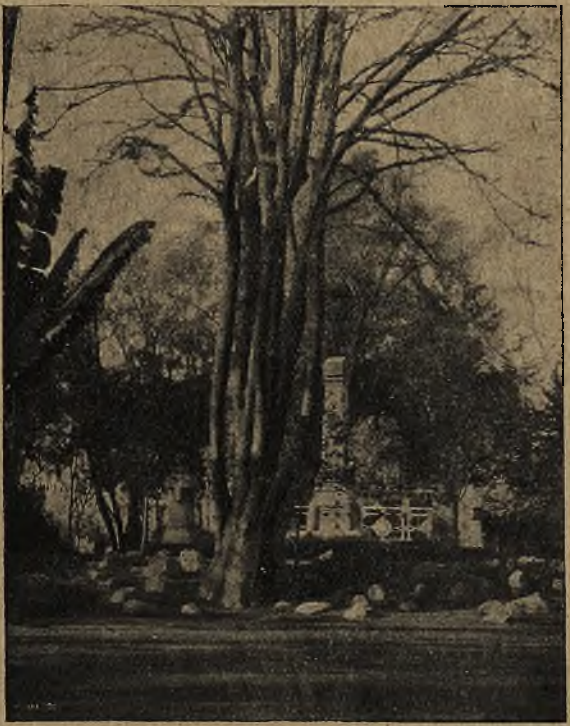
Meksyk IX.

Zanim opuścimy gorący Meksyk, chcemy jeszcze podać Czytelnikom „Roli“ kilka osobliwości tego dalekiego kraju.



Agawa meksykańska.

Niejednokrotnie spotkać można w wielkich ogrodach dworskich, a nawet w niektórych zamożniejszych domach, gdzie dużo jest kwiatów i miejsca nie brak na nie, roślinę o mocnych, mięsistych liściach, na których mogłoby nawet stanąć małe dziecko. Roślina taka jest również na plantach w Krakowie opodal teatru miejskiego. Opowiadają, że roślina ta kwitnie raz na sto lat. Zowią ją powszechnie aloesem.



Ogród w El Desierte.

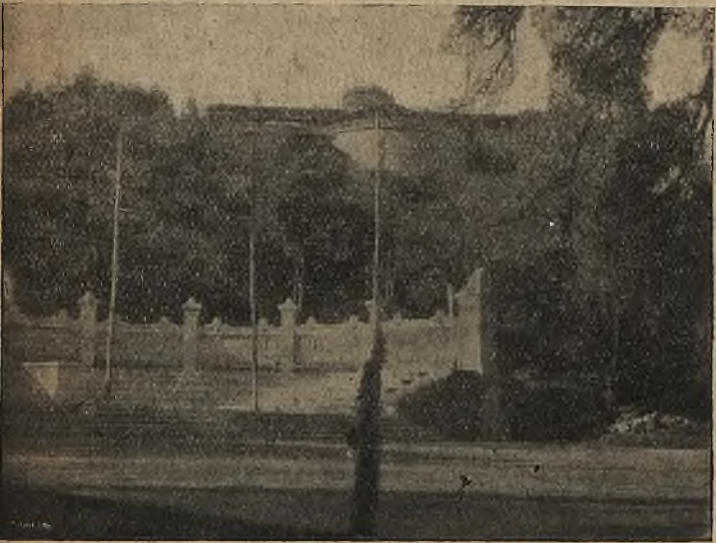
Jest to najzwyklejsza roślina meksykańska, — a właściwa jej nazwa brzmi „agawa“. Widzimy ją na naszym pierwszym obrazku. Należy ona do roślin pokrewnych liljowatym. W Meksyku rośnie na suchej, nieurodzajnej ziemi. Kłącze czyli podziemną łodygę ma grubą, z niej wychodzi różyczka liści olbrzymich, do dwóch metrów długich, a do dwóch decymetrów grubych, silnych, mięsistych, na brzegu mocno ciernistych. Agawa w ojczyźnie swojej kwitnie w 5 do 7 roku, u nas dopiero po kilkunastu latach i w ciągu dni kilku wypuszcza pęd kwiatowy, wysoki do 10 metrów, zakończony wiechą, okrytą tysiącami kwiatów żółtawych.

Roślina ta wielorakie daje użytki. Sok jej służy do wyrabiania napoju podobnego do piwa, zwanego „pulque“. Nadto z liści agawy otrzymuje się włókno, doskonałe na przędzę, zwaną w Meksyku „pita“ i na papier, używany jeszcze przez dawnych Meksykanów.

Jak podaje jeden z sławnych botaników, pierwszy raz agawa kwitła w Europie w Pizzie we Włoszech w 1583 r. Podobno agawa po przekwitnieniu obumiera i trzeba nadzwyczajnych wysiłków, aby ją utrzymać przy życiu.

Do niezwykłych osobliwości w Meksyku należy góra, stanowiąca olbrzymi pokład rudy żelaznej. — Zajmuje ona przestrzeń 2 i pół kilometra długości,

a 700 metrów szerokości, a nie jest ona niczem innem, jak olbrzymim blokiem rudy magnetycznej o zawartości czystego żelaza do 68 procent. Ilość tej



Pałac w Chapultepnec.

rudy, wystającej ponad powierzchnię ziemi, oceniają na 1 miljard ton. Wiercenia wykazały, że pod ziemią znajduje się bez porównania większe ilości tego cennego materjału. Góra ta znajduje się w pobliżu miasta Durango.

Ponieważ jest ona odosobniona i ściśle ograniczona, nie można zjawiska tego inaczej wytłómaczyć, jak tylko przypuszczeniem, że góra żelazna pod Durango jest gigantycznym meteorem, który kiedyś przed wielu tysiącami lat runął na ziemię. Zresztą stwierdza to i fakt, że skład chemiczny owej góry jest taki sam, jak skład olbrzymiego meteoru, który w r. 1751 spadł na Węgrzech. Uczeni górę tę nazywają ósmym cudem świata.

Jeszcze większy meteor znajduje się w Ameryce Południowej w pobliżu miejscowości Canon Diable. Do obejścia potrzeba całej godziny czasu. Leży on tam również kilka tysięcy lat.

I w nowszych czasach spadają nieraz meteory z nieba. Ostatnio meteor taki spadł w lasach centralnej Azji w dorzeczu rzeki Tunguzki w 1908 roku. W lasach najstarsze i najpotężniejsze drzewa zostały powalone na ziemię w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, a roślinność spalona w promieniu kilkuset kilometrów. Lej, powstały przez zapadający się w ziemię meteor, stanowi otwór o średnicy kilku kilometrów i wygląda, jak wielki krater wulkanu. Meteoru jednak nie widać, gdyż zarył się on głęboko w ziemię.

Czem mógł być Meksyk, a czem jest, świadczy o tem wymownie nasz drugi obrazek. Widzimy na nim ogród w El Desierte. Są tam szczątki ogromnego opactwa, po którem został jedynie kościół. Z wieży kościelnej widać rozkład podwórz; jest ich sześć, szczątki korytarzy, zwaliska celek i innych klasztornych zabudowań. Kiedy w roku 1857 wypędzono stamtąd zakonników, okoliczni Indjanie zabrali wszystko, co tylko zabrać i przenieść się dało, ba nawet haka, ani szyby w zwaliskach znaleźć niepodobna. Ogród, gdzie zapewne pielęgnowano jarzyny i kwiaty, również porósł zielskiem i chwastem. Pod klasztorem ciągną się ogromne podziemia, których przeznaczenia dziś trudno odgadnąć.

W Meksyku przeszłość kłóci się z teraźniejszością. Poza śladami niedawnych zniszczeń, można tam znaleźć jeszcze i piękne zakątki, pozwalające zapomnieć, że się jest w krainie nieustających rewolucyj. Świadczy o tem n. p. taki pałac w Chapultepnec, który widzimy na naszym ostatnim obrazku. Jest to widoczek, jakby sfotografowany w okolicach najspokojniejszych.

Nim też więc zamykamy nasze pogadanki o Meksyku, aby w następnym numerze przenieść się w inne strony świata.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Magdusine kochanie.

nowelka, napisana przez Marję Waller.

I.

Dzień się już kończył. Słońce wtuliło się w przygarść chmur. Snopy blasków wydzierały się w przestworza, a kładąc się w krąg promienny niby olbrzymie smugi reflektorów, zajmowały długiemi warkoczami pół nieba.

Przed dostatnią zagrodą siedziała na niskim stołeczku młoda urodziwa kobieta, łuskając bób.

Opodal zgromadziły się kury, spoglądając to jednem, to drugiem okiem na wielce nieproduktywną pracę swej gospodyni, z której nic pożytecznego nie zostaje w przetaku: ot zielska jakieś i tyle.

Co poniektóra młodsza, uderzała dziobem w zielone łupiny, ale wnet cofała się, zniechęcona. Chcąc zaś uniknąć prześmiechów towarzyszek, kujnęła raz i drugi ziemię, udając, że jednak coś znalazła.

Kobieta podniosła oczy na słońce.

— Będzie deszcz, ani chybi! A tu pszenica na pomieci! — mruknęła i ręce jej zaczęły migać szybciej jeszcze, wyłuskując duże, tłuste ziarna. Od lasu nadciągnęło bydło, podzwaniając uwiązanemi u szyi dzwonkami. Od stada oderwała się zaraz rosła, szeroka w krzyżu, łaciata krowa i zbliżywszy się do łazy stojącej na przyzbie, zaczęła szerokim, szorstkim językiem wylizywać skopce, garnki i cebrzyki, suszące się w słońcu.

— A pójdziesz ty, brzydulo jedna — wołała gospodyni.

Krowa jednak, spojrzawszy na nią przelotnie, machnęła ozorem tak zamaszyście, że skopiec straciwszy równowagę, spadł z ławki i potoczył się z głośnym stukotem pod drzwi stajni.

— Magda, klempo jedna! A rusześ się prendzy! Uwiąż kwiatulę, bo wszystkie garnki sprasko!

— Zaro, zaro! Przecie dziesięć rąk ni mom! — odezwało się gdzieś z za domu i wnet ukazała się zgrabna, smukła dziewczyna, dźwigając na nosidłach dwa spore wiadra wody.

Zawartość ich wlała do obszernego cebra, do którego poczęły się cisnąć spragnione krowy.

— Gdzieś pasła? na wyrembie?

— Nie, w sośninach! — odparła, chwytając wiadra.

— Jasiek był?

— Acha! — obiegło ją już z za domu. Pogoniło za nią złe spojrzenie.

— Bezwstydna! Nawet się nie kryje! — szeptały wargi kobiety i umilkły, zaciskając się bólem i zawiścią.

Skończyła właśnie łuskanie bobu. Wyniosła więc z izby olbrzymi garnek kartofli. Bezmyślnie wsypała

weń sporą miskę otrąb i plew, a ubijając zawzięcie drewnianą pałką, rozżalała się, sama nad sobą.

— Abo i ten Jasiek! Roku nima jak łaził, a skamłał, kiej ten pies obity: „Maryś, ulituj sie! Maryś nie idź za Burego! Maryś, bo nie strzymom i utłukę tę zatraconą sobakę!“ No i co? i za Burego poszła i Jasiek go nie zatłuk! Ot chłopskie kochanie! Byle spodnica i gembusia gładszo, to i tyle! — mruczała, tłukąc ziemniaki z dziką wściekłością, aż się rozpryskiwały dookoła ku wielkiej uciesze kur i czupurnych kogutków. Świnie słysząc znajome sobie odgłosy i czując smakowity zapach kartofli, dobijały się do drzwi chlewa, kwicząc łakomie.

Tymczasem Magdusia uwiązawszy krowy w stajni, wzięła skopiec i zabrała się do dojenia. Otoczyły ją roje much, pchając się do skopca, do oczu, do ust. Kosmate łapki łaskotały po szyi, po nagich rękach i nogach. Niemniej dokuczały i krowom, które oganiały się zawzięcie, tupiąc nogami niecierpliwie.

— A stójże, chorobo jedna! — zawołała dziewczyna; równocześnie skopiec pełen mleka kopnięty silnie przechylił się, a biała, ciepła struga oblała kolana dziewczyny.

— O rety, znów będzie piekło! — pomyślała strwożona, starając się zatrzeć ślady niewłasnej winy.

Było jednak zapóźno: we drzwiach stajni stała macocha!

— Różana kopła skopiec i zdziebko mlika chlupło — tłomaczyła się Magdusia nieśmiało.

— A juści, zdziebko! Garniec mlika, to u niej zdziebko! Jużeś sie ty ciejbo zatracono do niczego nie udała! Duchem kiej nieboscka matusia! — szydziła macocha, odbierając jej z rąk skopiec i siadając pod krowę.

Dziewczyna wyprostowała się.

— Matusią se gemby nie wycirejcie! Jak oni tu gospodarzyli, nigdy tylachno much w stajni nie było.

— Ano rychtyg! bo to przy nik piesby zdech, nie tak mucha!

— Hoho! sławni oni byli,a i córkę sławnie wychowali, że ino za chłopami po sośninach ciko.

— Jo? jo cikom? widzieliście?!

— Nie trza mi widzieć! Ludzie ta każdą hańbę ujrzą i gdzie trza doniesą! Bedzie sie ociec cieszył, a jakże!

— To lećcie ze skargą! Wy ta nic lepszego nie umicie!

— A juści, że powiem! Niech wi, jaką gałganicę w domu trzymo!

— Jo wiem, że wom o Jaśka idzie! Tatusia gościliście w izbie, a Jaśka za stodołą! Myślicie, że nie wiem?

Macocha skoczyła zaperzona. Magda jednak, nie czekając, umknęła szybko w ogród. Tu dopiero zakręciły się jej łzy w oczach.

— Matusiu kochana, matusiu! Pocoście mnie sierote tu ostawili! — szeptała pośród łkań.

— Dwa roki jeszcze nie minęły i tyle zmian! — O Boże!

Źle było dziewczynie, tembardziej, że pierwej otoczona była gorącą miłością i opieką. Niemało cierpiała, widząc, że jeszcze mogiłka matusi darnią nie porosła, a ojciec już zachodzi do najpiękniejszej, ale ubogiej dziewczyny we wsi, Maryśki. Krótko trwały zaloty, bo gajowy Jakób bogaty był i choć nie pierwszej młodości, ale czerstwy i zdrów. To też wnet, bo na jesieni już odbyło się weselisko.

Magdusia czuła podświadomie nieżyczliwość macochy, a niejasne jakieś przeczucie, nie pozwoliło jej na cieplejsze słowo lub zbliżenie.

Ojciec dawniej jeszcze obcy jej był i daleki; dziś stosunek ich ograniczył się do prostej wymiany koniecznych zdań, w formie jak najkrótszej i jak najzwięźlejszej.

Ojciec czuł wstyd przed dorosłą córką, krępował się jej obecnością...

Niechnoby się czasem zbliżył do młodziutkiej żony z serdeczną pieszczotą, już zdawało mu się, że ściga go drwiący, szyderczy wzrok Magdusi... i odchodził zły na siebie, na cały świat, a przedewszystkiem na córkę.

— Trza to wypchać z domu jak najprędzej! — A wtedy bede wolny! — mruczał do siebie coraz częściej.

II.

Wiadomość o konkurach Jaśka przyjął stary Jakób dość przychylnie.

— Jakby sie ino żenił, to co mi ta! Baba z wozu, koniom lżej!

— Ale toć to jeszcze młode, a i on hudobny!

— Hale, hale! Ośmnaście roków z wiesną skończy! Nie wiele ta młodsza od ciebie! A Jasiek spłat weźmie, to z tem, co jo im dom, żyć se bedą galanto!

— Bój się Boga! A dyć grosza niewiele mamy gotowego. A trzaby i chałpę nową, trza stawiać, i wesele przecież sprawić!

— Na wesele starczy, jeszcze ostanie na gospodarke! A do wiesny bedziemy razem. Potem sie im pobuduje! Damy im dużą izbę, a my ostaniemy w izdebce. Będziemy wolniejsi Maryś — szepnął przymilnie, obejmując żonę.

Kobieta miała w duszy piekło. Zacisnęła zęby, aby nie wybuchnąć potokiem jadliwych słów, nie mogła jednak opanować się na tyle, aby nie wzdrygnąć się z niechęcią.

— Co ci to? — zapytał.

— Bo ja wiem? Głowa mnie boli i ziąb jakiś — kłamała.

— A może... nachylił się z szeptem do uszka żony.

Maryś nie mogąc wytrzymać dłużej tej udręki, wypadła z izby i wpadła do komory, zatrzaskując za sobą drzwi.

Pogonił za nią zwycięski śmiech zadowolonego samca.

— Nie zdzierżę, nie zdzierżę, o Jezu! Ucieknę chyba, abo sie zabije, wpiła palce w bujne włosy... Silny ból otrzeźwił ją nieco.

— Jasiek! Jasiek! o Jezu! Pod jednym dachem z nią, a nie jej! a nie z nią... a z tamtą znienawidzoną.

Inaczej sobie ona myślała, inaczej! Nieraz, gdy przymknęła oczy, zdawało się jej, że widzi Jaśka, jak ramiona krzepkie ku niej wyciąga i rozmiłowanym wzrokiem niby ogniem obejmuje, a drgającym głosem prosi namiętnie: „Pójdże Maryś, pódź“.

Wtedy ognie gorące latały jej po twarzy, a lube dreszcze przenikały nawskroś jej ciało.

Czasem w chwili takiej, rzucała się drżąc cała w ramiona męża i zacisnąwszy powieki oszałamiała go warem namiętności, a stary Jakób przyjmował to jako należny objaw miłości, za tyle dobra i za tę opiekę, jaką ją otoczył. Ona coś cierpiała coraz bardziej. Różne oznaki starości, gderliwe i zazdrosne obejście męża, robiły jej życie coraz cięższe, coraz przykrzejsze. Największym jednak cierniem, była pasierbica, Magdusia. Nie piękności jej zazdrościła, ani

młodości, ale wolności i majątku, który ją piękną i młodą pchnął w ramiona — starca.

Nieraz pieszczoty małżeńskie budziły w niej taki wstręt i nienawiść, że odepchnęły męża z przekleństwem i obrzydzeniem!... Nieraz oczy jej spoczęły na błyszczącej klindze noża!...

Myśli te nurtowały podświadomie, duszone i dławione lękiem odpowiedzialności i wstydu, grzechu i kary!...

Nie wiedział o nich nikt, prócz Boga. Tlały gdzieś na dnie duszy, błyskały chwilami buntem, aby zapaść potem w niewolnicze okowy narzuconych i uświęconych praw i zwyczajów.

Stary Jakób ani na chwilę nie przeczuwał walk istoty, żyjącej w nim pod jednym dachem. Chwilowe wybuchy przejawiające się niekiedy ruchem lub słowem niebacznem, brał za fochy niewieście, miłe i ponętne, bo wciąż nowe.

Dziś jednak męka ta stała się nie do zniesienia.

Rozpaczliwe myśli przytłoczyły kobietę, mszcząc się za kłamstwo, za złamane uczucie, za wyrachowanie...

Dziś zrozumiała, że nie pieniądze, nie majątek, daje szczęście i zadowolenie... Dziś, kiedy było za późno!

— Nikogo! nikogo swego na świecie! Myślałam, że jeden Jasiek... a i on nie mój! Nikt! Nikt! — szalało w niej rozpacznie.

— Mąż — szepnęło nieśmiało sumienie.

Żachnęła się niecierpliwie, tuląc płonącą rozgorączkowaną twarz do zimnego okucia skrzyni, podczas gdy palce nurzały się w chłodnej, sypkiej fali zboża.

— — — — — — — — — — —

Magdusia wsunęła się do izby.

— Powiedziała, to powiedziała! Niech biją, wszystko jedno! Spraszała się nie będę — myślała.

Ojciec siedział na ławie pod oknem, nabijając spokojnie fajkę. Spojrzał na córkę uważnie, z zaciekawieniem, jakby widział ją po raz pierwszy.

— Magduś! podzino haw! Cosi ci powiem! — zawołał miękko. Dziewczyna przysunęła się nieśmiało, zdziwiona tonem serdecznym, do którego nie nawykła.

— Cosi mi sie widzi, że trza bedzie przed Jandwentem weselisko sprawić!

Magdusia pokraśniała: wszystkiego się spodziewała, tylko nie tego.

Stary Jakób patrzał na nią z rosnącem upodobaniem.

— Wypiekniała szelma, że ha! Aż od ni łona bije! — myślał.

— No i jakże? nic nie mówisz? Upatrzyłaś se już kogo? — ciągnął dalej, uśmiechając się pod wąsem na widok rosnącego zamieszania dziewczyny.

— Cosi mnie słuchy doszły, że sie Jasiek Gargasik wele ciebie kręci! — dodał, widząc, że dziewczyna milczy uparcie — może po żniwach posłać z wódką! Rad mu bede!

— Tatusiu! Tatusieńku! — przypadła Magdusia do kolan ojca — tatusiu! a ja myślała...

— Myślałaś, że masz ojca tyrana! A widzisz! A on by ci krwie z palca doł! Tak moje dziecko, tak! rozczulał się stary, gładząc główkę dziewczęcia.

Stary Jakób czuł się w tej chwili tak szczęśliwy niemal, jak jego córka... Niechnoby mu kto rzekł teraz, że z wyrachowaniem chce się pozbyć córki, — dałby jemu!

Pykając z fajki, spluwał co moment, rozmyślając nad rozkoszą swobody i bezkłopotliwą przyszłością.

(Dokończenie nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

Produkcja trzody chlewnej.

W ciągu okresu powojennego, głównie pod wpływem doniosłych zmian na rynkach tłuszczów i mięsa, w europejskiej produkcji trzody chlewnej przejawiają się w sposób coraz bardziej zdecydowany, nowe kierunki, których wpływ na hodowlę zaznacza się wydatnie.

Na rynku tłuszczów zmiany powyższe wyrażają się wypieraniem tłuszczów zwierzęcych przez tłuszcze roślinne. Ostatnie są coraz chętniej poszukiwane nietylko przez konsumentów, ale również i przez przemysł tłuszczowy w postaci surowca. Prócz tłuszczów roślinnych, do nieznanego dotychczas znaczenia na rynku doszedł tran wielorybi, znajdujący coraż szersze zastosowanie w przemyśle tłuszczowym. Margarynowy przemysł niemiecki, który zużył w r. 1913 — 80.000 ton tłuszczów roślinnych i 90.000 ton tłuszczów zwierzęcych, w r. 1928 zużył już 317.000 ton tłuszczów roślinnych, 64.500 ton tranu łącznie z tłuszczem rybim, a zaledwie 22.000 ton tłuszczów zwierzęcych. O zwiększonej konsumcji tranu świadczy norweska statystyka produkcji tego przetworu, z której wynika, że w r. 1920 produkowano 407 tysięcy beczek, a w 10 lat później 1,868.000 beczek tranu. — Wielką zaletą konkurencyjną tłuszczów roślinnych jak i tranu jest to, że są znacznie tańsze od zwierzęcych. Pozatem produkcja oliwy i tłuszczów roślinnych może byó z łatwością przy nieznacznym nakładzie kapitału, bardzo powiększona.

Pisząc o europejskim rynku tłuszczowym, nie możemy pominąć również konkurencji amerykańskiego smalcu, który zdobył już dla siebie najlepsze rynki europejskie z uszczerbkiem dla europejskich tłuszczów zwierzęcych.

Niemniej ważne zmiany dla kierunku produkcji nierogacizny, zaszły na rynku mięsnym. A więc w zakresie wieprzowego mięsa świeżego, szczególnym popytem cieszy się soczyste mięso świń młodych, małej wagi, typu mięsnego. Natomiast typ świni tłuszczowej i starszej jest znacznie mniej poszukiwany. W zakresie przetworów mięsnych ogromnych rozmiarów nabrała konsumcja bekonów. W jak silnym stopniu wpływa ona na hodowlę trzody, szczególnie we wschodniej i południowo-wschodniej Europie, produkującej do niedawna wyłącznie świnie tłuszczowe, świadczy następujący stosunek procentowy świń tłuszczowych do mięsnych na Węgrzech: w r. 1924 wyrażał się on dla świni tłuszczowej cyfrą 94.2 procent, dla świni mięsnej 5.8 proc., w r. 1928 90.3 procent, — 9,7 procent, w r. 1930 87,4 proc. — dla tłuszczowej, a już 12,6 proc. dla mięsnej.

Obserwacja wszystkich, najpojemniejszych rynków europejskich potwierdza wyżej naszkicowane zmiany, mimo istnienia oczywiście lokalnych odchyleń. Na rynku angielskim w zakresie mięsa świeżego, najkorzystniejszy i najpewniejszy zbyt ma trzoda wagi 33—72 kg. w wieku od 3 i pół do 4 i pół miesięcy. W Niemczech jest wymagana już nieco większa waga

(Hamburg 75—990 kg., Frankfurt 90—95 kg., Düsseldorf 80-85 kg). W Szwajcarji poszukuje się najwięcej świń o wadze 70—80 kg. Zapotrzebowanie zaś dla przemysłu masarskiego ciężkiej świni tłuszczowej jest za małe, ażeby mogło się stać podstawą dla rozwoju produkcji w tym kierunku.

Nietylko jednak zmiana w gustach jest czynnikiem rozszerzania się świni mięsnej i młodej. Jest nim również szybszy obrót kapitału przy chowie świń typu mięsnego. Nie ulega także wątpliwości, że hodowla tego typu jest tańsza i że wreszcie w okresach nadprodukcji łatwiej upłynnić rynek trzody chlewnej, jeśli przeważa na nim produkt małej wagi. W Niemczech, gdzie stan trzody w ciągu ostatnich lat tak się podniósł, że powstaje obawa kryzysu, zgłoszono projekt, ażeby świnie posiadające wagę ponad pewną normę były obłożone specjalną taksą od kilograma.

Pod wpływem więc skurczenia się z jednej strony rynku zbytu na tłuszcze zwierzęce, z drugiej zmniejszania się konsumcji mięsa tłustego, w hodowli europejskiej ustalają się dwa typy trzody: pierwszy mięsny, małej wagi o mięsie młodem, poszukiwany w konsumcji mięsa świeżego, drugi typ to bekon. — Oczywiście od tych dwóch typów istnieje szereg odchyleń, czy to pod wpływem warunków lokalnych, sezonowych, czy też konjunkturalnych. Widocznem się jednak staje, że hodowla trzody przywiązuje dziś większą wagę do produkcji standartowego typu, o pewnym określonym rozmiarze, wadze i sumie zalet, niż do rasy. I dlatego można powiedzieć, że w hodowli trzody idziemy obecnie po linji zacierania różnic rasowych, na rzecz jednolitych typów standartowych.

Dyfteryt u drobiu.

Zwykłym objawem dyfterytu jest śluzowaty, o przykrej woni, wyciek z nosa i dzioba, oraz łzawienie i zapuchnięcie oczu: w dalszem stadjum choroby pojawiają się w jamie ustnej żółtawe narosty. Oczywiście chore ptaki nie zdradzają chęci do jedzenia. Dyfteryt znajduje podatny grunt do rozwoju w ciemnych i wilgotnych kurnikach i przy złem odżywianiu drobiu, a jest specjalnie niebezpieczny w okresie chłodnej wiosny i wilgotnej jesieni. Ponieważ jest to choroba zaraźliwa, trzeba więc sztuki chore natychmiast oddzielić od zdrowych. Chory drób karmić miękką paszą i trzymać w ciepłem i słonecznem miejscu. Głowę chorego ptaka obmywać 3 proc. kwasem borowym, zaś nozdrza i jamę ustną uwalniać dwa razy na dobę z nagromadzonego tam śluzu i delikatnie pendzlować roztworem 10 proc. pioktaniny w spirytusie. Do oczu można zapuszczać 1 proc. roztwór protargolu.

Zarówno chorym jak i zdrowym sztukom dawać po ujawnieniu się dyfterytu do picia wodę z kreoliną (najwyżej 10 kropel kreoliny na wiadro wody).

Leczenie musi być bardzo staranne, jeżeli chcemy osiągnąć dobre wyniki.

Bandytyzm w Krakowie.

W nocy z 18 na 19 b. m. dokonano niesłychanie zuchwałego włamania kasowego w Krakowie do biur firmy „Berson" przy ul. Straszewskiego l. 2 pod Wawelem. — Włamanie spostrzegł pierwszy dozorca domu Antoni Bomba, który natychmiast o powyższym fakcie w nocy zawiadomił policję. Policja, zaalarmowana przez Bombę, wysłała na miejsce włamania swoich wywiadowców, mobilizując równocześnie pościg za włamywaczami. Sprawcy skradli gotówkę 13.500 zł. oraz 1.100 dolarów amer. Dokonawszy włamania, złodzieje zbiegli, nie pozostawiwszy na miejscu żadnych śladów. Policja rozpoczęła pościg za włamywaczami. O godzinie 7 rano wywiadowca Franciszek Krzywda napotkał na ul. Salinarnej w Podgórzu poszukiwanego za szereg włamań kasowych i podejrzanego o to włamanie znanego włamywacza Romana Michalskiego, lat 28. Złodziej, widząc wywiadowcę, począł uciekać ulicą Dąbrówki, a następnie jednym susem skoczył na ulicę Traugutta, gdzie szybko przerzucił się przez parkan, otaczający tory kolejowe i tam stanął w pozycji obronnej, mając poniżej nasypu kolejowego stojącego policjanta, wyciągnął rewolwer i strzelił czterokrotnie. — Ponieważ zebrała się publiczność, która chciała ująć zbiega, bandyta wypalił do publiczności dwa razy z rewolweru, poczem zbiegł za tory w kierunku targowicy miejskiej. Odgłos strzelaniny zaalarmował przodownika Kozła z V-go komisarjatu, będącego również w patroli, który zebrawszy relacje o uciekającym bandycie, wsiadł do ciężarowego auta magistrackiego i udał się w pościg w kierunku targowicy. Stamtąd zauważył Michalskiego, uciekającego przez łąki w kierunku portu żeglugi i zaczął go ścigać. Gdy zbliżył się do niego na 35 kroków, Michalski odwrócił się i oddał dwa strzały do Kozła. Strzały chybiły. Kozioł wówczas wystrzelił pięć razy za Michalskim, jednak ani jeden strzał nie był celny. Na szczęście bandycie zaciął się rewolwer i Michalski widząc, że nie ujdzie pościgu, zatrzymał się i poddał przodownikowi. Przy aresztowanym Michalskim, którego odstawiono do aresztów, znaleziono rewolwer oraz 3 magazynki pełne naboi i 35 zł. Skradzione pieniądze zabrali inni wspólnicy.

W ubiegły czwartek rano wywiadowcy policyjni Mikrut, Bukowski i Witkowski odprowadzali do sędziego śledczego ujętego bandytę włamywacza Michalskiego. — W chwili, gdy wywiadowcy wraz z eskortowanym przez nich bandytą znaleźli się w pobliżu składu węgla przy ul. Senackiej, nagle posypał się na nich grad strzałów rewolwerowych, od których wywiadowca Mikrut został ranny w brzuch, zaś wywiadowca Bukowski w plecy, Witkowski w rękę. Pozatem jeden z przechodniów, niejaki Załucki został ranny w plecy i w rękę. Jak się okazało, towarzysze Michalskiego, bandyci Makowicz i Mikołajczyk, pozostający na wolności, w przewidywaniu, że aresztowany Michalski będzie przeprowadzany z policji do sądu, urządzili zasadzkę w składzie węgla przy ul. Senackiej. Porwawszy ze sobą skutego w kajdany Michalskiego, wszyscy trzej bandyci poczęli uciekać ulicami Poselską, Groblami i Tarłowskiego, ostrzeliwując się gęsto z rewolwerów. Po drodze zdołali rozerwać Michalskiemu kajdany i wręczyć mu broń. W ul. Tarłowskiej zastąpił uciekającym bandytom drogę posterunkowy Włoch, który wystrzałem z rewolweru zranił w brzuch Mikołajczyka. Ten widząc zbliżających się dalszych policjantów, strzelił sobie dwukrotnie w skroń, raniąc się bardzo ciężko. W czasie dalszego pościgu policja przytrzymała nad Wisłą dwóch pozostałych bandytów, Michalskiego i Makowicza, których skutych w kajdany, odstawiono do więzienia. Ciężko rannych wywiadowców Mikruta i Bukowskiego oraz bandytę Mikołajczyka pogotowie ratunkowe przewiozło do szpitala św. Łazarza na oddział chirurgiczny, gdzie natychmiast przystąpiono do operacji. Mikołajczyk zmarł w szpitalu wkrótce po przywiezieniu, zaś wywiadowca Mikrut zakończył życie dopiero około 1 w nocy. W trzecim dniu zakończył życie drugi wywiadowca Bukowski, zaś trzeci wywiadowca Witkowski dostał kilka niebezpiecznych postrzałów w nogi.

KRONIKA.

Bójka na noże w sądzie. W korytarzu sądu okręgowego w Krakowie o godz. 12 w południe kilku osobników, a to: Antoni Bujas, Leon Głowacki, Stefan Cyran i Jan Mroczek, wszczęli między sobą awanturę, która następnie przemieniła się w bójkę. Wszyscy wymienieni dobyli noży, rzucając się na siebie wzajemnie. Byłoby doszło do krwawej masakry, gdyby na czas nie położyła kresu policja. Wszystkich wymienionych aresztowano i oddano do dyspozycji sędziego za zakłócenie spokoju i przerwanie odbywającej się w tym czasie rozprawy.

Zuchwały napad bandytów. W Ropicy pod Gorlicami do mieszkania Apolonji Urbanowej wdarli się przez okno trzej zamaskowani bandyci. Córka Urbanowej, Paulina, zbudzona ze snu i przerażona widokiem bandytów, usiłowało wybiec z pokoju, czemu przeszkodzili bandyci i poczęli ją kłuć nożami. Krzyk córki obudził matkę, śpiącą wraz z synem w drugim pokoju. W chwili, gdy Urbanowa i jej syn ukazali się na progu, rzucili się na nich bandyci i pokrajali dosłownie nożami. Na alarm, podniesiony przez sublokatora, niejakiego Zapałę, bandyci zbiegli, Paulina Urban, której bandyci zadali 9 ran, zmarła natychmiast, matka i brat, bardzo ciężko ranni, zostali przewiezieni do szpitala.

Ograbienie kościoła. Niewykryci dotąd sprawcy dostali się po wyrwaniu kraty okiennej do zakrystji kościoła parafjalnego w Kobylnicy, pow. gorlickiego. Po rozbiciu szafy skradli monstrancję złotą, wysadzaną drogiemi kamieniami i brylantami, wartości 300.000 zł., jedną monstrancję pozłacaną, wartości 1.000 zł., 3 kielichy srebrne i 3 pozłacane wartości 3.000 zł. Ponadto rozbili wszystkie skarbonki i skradli około 50 zł. w drobnej monecie.

Tragiczna egzekucja. Do Heleny Goreczycówny, zamieszkałej w Krośnie na Jeleniówce, przybyli wierzyciele Herman Bodnej, Majer Rudner z Rzeszowa, oraz egzekutor sądowy, celem przeprowadzenia egzekucji. Gdy zażądali zapłacenia kwoty zł. 72 pod groźbą egzekucji przedmiotów majątkowych, ta ze wstydu przed będącym w drugim pokoju narzeczonym wyjęła ze szafy rewolwer i wszedłszy do kuchni, strzeliła sobie w skroń. Kula przeszyła głowę. Mimo natychmiastowej pomocy i zabiegów lekarskich do życia jej przyprowadzić nie zdołano. Zaznaczyć należy, że nad rodziną tą ciąży jakieś fatum. Ojciec denatki zginął nagle nienaturalną śmiercią, brat przed dwoma laty popełnił samobójstwo.

Młodociany morderca. Z Sambora donoszą, że 14-letni uczeń, syn st. przodownika Chłodnego, zamordował 8 letnią dziewczynkę Kudisównę. Gdy dziewczynka nie powróciła do domu, zaniepokojeni rodzice rozpoczęli poszukiwania i dowiedzieli się, że córka ich bawiła się z Chłodnym. Na pytanie, co się z dziewczynką stało, Chłodny odpowiedział, że w czasie burzy łódź przewróciła się i Kudisówna wpadła do wody. Zaalarmowane władze zarządziły natychmiast spuszczenie wody ze stawu. Zwłok nie znaleziono. Dopiero następnego dnia znaleziono w krzakach trupa Kudisówny z trzema ranami na głowie, zadanemi tępem narzędziem. Chłodny przyznał się wówczas do popełnienia zbrodni. Młodocianego mordercę zatrzymano w więzieniu.

Tragedja w domu obłąkanych. Dnia 17 b. m. około godz. 6 w zakładzie dla umysłowo chorych w Lublińcu wydarzył się tragiczny wypadek. Przebywający tam na kuracji 21-letni student Eugenjusz Witwiński wszedł do pokoju sanitarjusza Teofila Mięsoka. Witwiński w przystępie szału rzucił się na śpiącego sanitarjusza, uderzył go 5-krotnie jakiemś tępem narzędziem po głowie, a następnie poderżnął mu nożem szyję. Po dokonanym czynie Witwiński zabrał Mięsokowi klucz od drzwi wejściowych i zbiegł w niewiadomym kierunku. Stan Mięsoka jest beznadziejny. Zarządzony za Witwińskim pościg nie dał dotąd rezultatu.

Fatalna omyłka zazdrosnej żony. O zabawnym wypadku donoszą z Warszawy. Oto niejaka Wiktorja Jarczyńska z Grodziska, pod Warszawą, jest niewiastą piekielnie zazdrosną. Ile razy mąż jej przyjedzie do domu późniejszym pociągiem, tyle razy pani Wiktorja jest moralnie przekonana, że została w Warszawie zdradzona i niema siły ludzkiej, którąby ją przekonała, że jest inaczej. Za każdem spóźnieniem do domu, mąż trafia na okropną scenę, spazmy i omdlenia. Wreszcie zdarzyło się, że nieobliczalna zazdrość pani Wiktorji obróciła się przeciwko niej samej. Spazmatyczna małżonka była w Warszawie i jechała właśnie na dworzec, gdy nagle ujrzała swego męża, idącego pod rękę z jakąś starszą damą. Pani Wiktorji aż ciemno w oczach się zrobiło. Spojrzała jednak jeszcze raz i nie miała już żadnej wątpliwości. Tak, to mąż, wzrost ten sam, ruchy te same, ubranie. Pani Wiktorja wyskoczyła z tramwaju i podążyła za niewiernym. Mocno już zadyszana, dogoniła małżonka:

— A, ty łotrze — krzyknęła rozdzierającym głosem i z całej siły wyrżnęła męża parasolką w głowę.

Mężczyzna obrócił się i z nieopisanem zdziwieniem krzyknął:

— Czego pani chce odemnie?

— Co to ma znaczyć? — zawołała również zdumiona towarzysząca mu dama.

Dopiero teraz pani Jarczyńska spostrzegła swoją straszną pomyłkę. Napadniętym tak energicznie wcale nie był jej mąż... Na miejscu wypadku zbiegł się momentalnie tłum gapiów. Pani Wiktorja ze łzami przepraszała ofiarę swej niepoczytalnej napaści.

— To zamało — odezwał się ktoś z tłumu — tak się skończyć nie może. Pani musi tego pana pocałować!

Pani Wiktorja posłuszna temu wezwaniu, zarzuciła nieznajomemu ręce na szyję i ku wielkiej radości tłumu ucałowała go serdecznie w oba policzki.

— Mój mąż wybaczy mi ten pocałunek — rzekła wzruszona.

Uratowanie samobójczyni. Mrożące krew w żyłach widowisko mieli przechodnie i lokatorzy domów przy ul. Nowolipie pomiędzy Przejazdem a Karmelicką w Warszawie. Oto z okna trzeciego piętra mieszkania frontowego wyszła na szeroki gzyms, chcąc wyskoczyć w zamiarach samobójczych, służąca 17-letnia Anna Maliszewska. Gdy już miała runąć na ulicę, natrafiła nogami na drugi węższy gzyms, znajdujący się o półtora metra nad oknem drugiego piętra. W tym momencie desperatce odeszła nagle chęć odebrania sobie życia. Puściła więc ręce i usiadła na gzymsie. Widok ten w jednej chwili zgromadził licznych przechodniów. Kobiety i dzieci zaczęły przeraźliwie krzyczeć. Ludziom dech zamierał w piersiach, gdyż każdej chwili groziło oberwanie się gzymsu wraz z Maliszewską. Wówczas z mieszkań parterowych zaczęto wynosić i układać na chodniku i rynsztoku poduszki, pierzyny, koce, kołdry i materace. Tymczasem do mieszkania wpadły cztery osoby i przystąpiły do akcji ratunkowej. Jeden z przybyłych podał sznur desperatce, lecz ta nie chciała się go chwycić. Po chwili namysłu zdjął poszwę z pierzyny, zrobił na końcu węzeł i opuścił. Maliszewska chwyciła ręką węzeł i zwisła. Zaczęto ją powoli wciągać do góry. W międzyczasie ktoś z przechodniów zaalarmował pogotowie ratunkowe. Przybyły lekarz przekonał się jednak,

że pomoc jego jest już zbyteczna, gdyż Maliszewska została już wciągnięta do mieszkania.

Krwawa zabawa. W Warszawie w mieszkaniu niejakich Pineków, odbyła się zabawa, na którą przyszedł również Edward Cieszkowski ze swoimi kompanami. Na zabawie był też obecny sąsiad Pineków, niejaki Kowalski. W pewnym momencie Kowalski z błahego zupełnie powodu wszczął kłótnię z gośćmi i z nożem rzeźnickim rzucił się na Cieszkowskiego i jego towarzyszy. Momentalnie powstała bójka, która zakończyła się śmiercią Cieszkowskiego, a pozatem 4 osoby zostały ranne. Kowalskiego aresztowała policja.

Budowa kolei Inowrocław-Piotrków Kujawski. Prace przy budowie nowej linji kolejowej na odcinku Inowrocław-Piotrków Kujawski zostały rozpoczęte przed kilku dniami. Narazie pracuje 200 robotników nad ułożeniem drugiego toru oraz nad instalacją urządzeń stacyjnych. W najbliższym czasie liczba robotników, zatrudnionych przy budowie tego odcinka, ma być powiększona do 800. Nowa linja przecinać będzie drogę Inowrocław-Mątwy i w tym celu przewidziana jest budowa masywnego wiaduktu, na którym odbywać się będzie ruch kołowy.

Straszna katastrofa lotnicza. O godz. 12 w nocy z dnia 18 na 19 b. m. wydarzyła się pod Bzowem w pobliżu Świecia straszna katastrofa lotnicza. Trzechmotorowy samolot wojskowy typu „Fokker" ze szkoły lotniczej w Grudziądzu, odbywając nocny lot ćwiczebny, wskutek defektu silnika zmuszony był do lądowania i runął z nieznacznej wysokości na chlew pewnego zabudowania. Wskutek tego nastąpił wybuch zbiornika z benzyną. W płomieniach znalazła śmierć cała załoga, składająca się z czterech lotników, a mianowicie: porucznik-obserwator Michał Mazurek, ppor. Dąbrowski Gustaw, plutonowy-pilot Fidler Jan i plut. Daszkiewicz Jerzy. Samolot uległ zupełnemu zniszczeniu. Chlew spłonął. Dwie osoby w czasie ratunku odniosły ciężkie poparzenia.

Napad rabunkowy na bogatą wdowę. Na polach wsi Ostrówek w powiecie łaskim dokonano nadzwyczaj zuchwałego napadu bandyckiego, którego ofiarą padła zamożna wdowa tejże wsi, Józefa Kowalczykowa. Kobieta wypędziła bydło na pastwisko, znajdując się o 2 klm. od wsi w pobliżu lasu. W pewnej chwili, gdy już zbliżał się wieczór, wyskoczyło nagle z zarośli dwóch zamaskowanych bandytów, którzy rzucili się na samotną niewiastę, kalecząc ją nożami. Trafiona silnemi razami Kowalczykowa zwaliła się momentalnie na ziemię, obficie zalewając się krwią. Bandyci sądząc, że ofiara nie żyje, rozpruli jej na piersiach nożami bluzkę, poszukując ukrytych pieniędzy. Rzeczywiście znaleźli 850 złotych, które zagrabili. Po dokonaniu rabunku bandyci pozostawili nieprzytomną ofiarę na polu i skryli się w pobliskim lesie. W kilka godzin potem zaniepokojeni domownicy znaleźli nieszczęsną, która w międzyczasie odzyskała przytomność i jęczała cicho. O zajściu niezwłocznie zaalarmowano policję, która natychmiast rozpoczęła poszukiwania i obławę za sprawcami tego bezczelnego napadu. Dotychczas jednak na ślad nie natrafiono. Sądząc z okoliczności, w jakich dokonano napadu, zachodzi podejrzenie, że osobnikami tymi byli dobrzy znajomi Kowalczykowej, którzy od dłuższego czasu zalecali się do zamożnej wdowy i byli poinformowani o jej stosunkach majątkowych.

Żonobójstwo. Wieś Sinków była widownią wstrząsającego morderstwa. O godz. 1 w nocy rolnik Piotr Gostyniów zamordował żonę Teklę. Morderca ugodził żonę pięścią w czoło, wskutek czego upadła ona na ziemię, a następnie polanem zadał jej 9 ciosów w głowę i złamał żebro. Powodem zbrodni były osobiste nieporozumienia w sprawach gospodarskich pomiędzy małżonkami. Morderca przyznał się, że miał zamiar żonę zbić, ale jej nie zabić.

300-lecie sprowadzenia cudownego obrazu. W związku z 300 leciem sprowadzenia obrazu Matki Boskiej Kodeńskiej z Rzymu do Polski odbyły się w Kodnie wielkie uroczystości, na które ściągnęły pielgrzymki ze wszystkich stron Polski. Liczba uczestników wynosiła około 50.000 osób. Uroczyste nabożeństwo celebrował ks. kardynał Hlond w asyście licznego duchowieństwa. Znamienny był udział okolicznej ludności prawosławnej w tych uroczystościach.

Zemsta złodziei drzewa. Miasteczko Krasnogród w pow. zamojskim było terenem krwawego zajścia. Oto na niejakiego Władysława Pestupę powracającego z odpustu napadło za miastem kilkunastu ludzi, z Majdanu Wielkiego, uzbrojonych w noże, pałki i żelaza. Napadnięty począł bronić się laską i dzięki nadzwyczajnej sile przez pewien czas odpierał ataki. Przyparty jednak do płotu zaplątał się o drut i upadł. W tym momencie otrzymał kilkanaście uderzeń i pchnięć nożem. Do dogorywającego doskoczył jeden z napastników niejaki Korkosz i zadał mu kilka ciosów w głowę żelazną osią. Policja krasnogrodzka aresztowała kilkunastu chłopów z Majdanu Wielkiego, którzy brali udział w napadzie, między innymi: trzech braci Jana, Andrzeja i Władysława Gronków, Kawalca, Bukałę, Korkosza, Konopkę i Ryszkę. Powodem mordu była zemsta. Ś. p. Pestupa pracował w dobrach hr. Tyszkiewicza jako gajowy w lasach Tarnawatki. Odznaczał się on wielką sumiennością i ściągnął na siebie nienawiść opryszków tem, że wykrywał stale ich kradzieże leśne. Liczył on lat 28 i pozostawił żonę, dwoje nieletnich dzieci i matkę staruszkę.

Zakaz noszenia sutanny. Z Lublina donoszą: Przed sądem grodzkim w Kraśniku odbyły się dwie charakterystyczne rozprawy, dotyczące nieprawnego noszenia sutanny przez duchownych sekty hodurowców: Stanisława Brzozowskiego i Jerzego Rogowskiego. Pierwszy z nich oskarżony został o to, że 28 czerwca b. r. podczas odpustu w Świeciechowie, nosił na sobie sutannę tego samego koloru i kroju, jak noszą księża Kościoła rzymsko-katolickiego. Na przewodzie sądowym oskarżony nie przyznał się do winy i tłomaczył się, że sutanna nie jest własnością Kościoła katolickiego, lecz została zapożyczona od innych wyznań, pochodzących ze wschodu. Na innem stanowisku stanął sąd, który skazał duchownego Brzozowskiego na 500 zł. grzywny z zamianą w razie nieściągalności na dwa miesiące aresztu, uznając, że sutanna jest oznaką, którą prawnie nosić mogą tylko księża, posiadający święcenia Kościoła rzymsko-katolickiego. Jako okoliczność obciążającą, sąd w motywach podkreślił, że oskarżony nosił odznakę Kościoła, którego szczególniej nienawidzi z racji przynależności do sekty. — Drugi oskarżony Rogowski stanął przed sądem za znieważenie posterunkowego Kuszejewskiego, który przybył do niego z polecenia sądu, celem odebrania sutanny, noszonej przez niego, a będącej takiego samego koloru i kroju, jak sutanna księży rzymsko-katolickich. Sąd skazał Rogowskiego na sześć tygodni aresztu, lub na 150 zł. grzywny.

Aresztowanie taboru cygańskiego. Policja wileńska zaaresztowała cały tabor cygański posuwający się szosą pomiędzy Nową Wilejką a Wilnem pod zarzutem systematycznego uprawiania koniokradztwa. Cały obóz został pod eskortą policyjną doprowadzony do Wilna, gdzie cyganów umieszczono w więzieniu centralnem, a konie i wozy ulokowano na dziedzińcu magistratu wileńskiego. Śledztwo przeciw cyganom trwa.

Tragiczny wypadek wiceprezydenta Wilna. Na szosie mejszagolskiej, koło majątku Piwidaki, samochód, należący do prezesa Aleksandra Lednickiego, podczas wymijania innego samochodu, którym jechał wiceprezydent miasta Wilna, inż. Czyż i dyrektor gazowni miejskiej, p. Kowalew, skręcił nagle w bok, co spowodowało, że prowadzący auto Kowalew, chcąc uniknąć zderzenia, wpadł na przydrożne drzewo, powodując wywrócenie się samochodu. Obaj jadący, to jest wiceprezydent Czyż i Kowalew, a szczególnie ten pierwszy, odnieśli ciężkie obrażenia ciała.

Tragedja Polaka wypędzonego z Niemiec. W dniu 17 bm. na polach wsi Garlików, w powiecie słupeckim, dokonano straszliwego odkrycia. Jeden z gospodarzy tej wsi, idąc z psem przez las, został w pewnej chwili zaintrygowany głośnem ujadaniem psa, który przebywał w tym czasie w gęstych, trudnych do przebycia krzakach. Po chwili, wskutek głośnego nawoływania, ukazał się pies, z trudem wydostawszy się z krzewów, ciągnąc zębami jakiś przedmiot, którym okazał się but ludzki. Gdy gospodarz zajrzał do wewnątrz buta, oniemiał ze zgrozy... Oto w najwyższem przerażeniu zobaczył piszczel ludzki, okryty rozpadającem się ciałem. Przestraszony wieśniak, natychmiast zaalarmował policję, która niezwłoczoie przystąpiła do przeszukania krzaków. Po wycięciu niedostępnych krzewów, znaleziono leżące na ziemi w stanie całkowitego rozkładu zwłoki jakiegoś mężczyzny. Znajdująca się obok butelka z resztą jakiegoś trującego płynu, nasuwała przypuszczenie, iż nieznajomy popełnił samobójstwo. Po dokładnej rewizji ubrania nieboszczyka znaleziono dowód osobisty na nazwisko Leona Skodakiewicza, emigranta z Prus. W toku dochodzeń ustalono, ze Skodakiewicz przed trzema miesiącami został wysiedlony z Niemiec, gdzie przebywał od przeszło 30 lat, będąc zatrudniony przy robotach rolnych. Wobec zestarzenia się i utraty zdrowia przy ciężkiej pracy na roli, okazał się on nieludzkiemu obszarnikowi pruskiemu niepotrzebnym balastem, którego postanowił jak najprędzej pozbyć się. Przy pomocy „miarodajnych czynników" uzyskał prawo na wydalenie z obszaru niemieckiego „niepożądanego obcokrajowca", co też niezwłocznie uskutecznił. Zrujnowany moralnie i fizycznie, sterany latami pracy i nawiedzony przez chorobę, Skodakiewicz ostatnim prawie wysiłkiem przedostał się do Polski. W kraju, a raczej w jego rodzinnej wiosce, w ciągu długiego okresu jego nieobecności, stosunki bardzo się zmieniły. Krewni i bliżsi znajomi bądźto poumierali, bądźto wyemigrowali. Bez pieniędzy i bez rodziny, napróżno kołatał wygnaniec o pomoc lub pracę. Doszło do tego, że po bezowocnej wędrówce, zniechęcony niepowodzeniem, postanowił Skodakiewicz targnąć się na swe życie. Zwłoki samobójcy i ofiary pruskiego bezprawia pogrzebane zostały na cmentarzu na koszt gminy.

Człowiek bez mózgu. W czeskim świecie lekarskim budzi niezwykłe zajęcie wypadek wprost wyjątkowy. W szpitalu Hradyszcza węgierskiego leży 55-letni oficjalista kolejowy, Spewak, któremu mózg częściowo wypłynął wskutek uderzenia siekierą, jakie Spewak otrzymał w czasie bójki. Uderzenie było tak silne, że rozpłatało Spewakowi czaszkę na długości 12 centymetrów. Gdy przywieziono tak straszliwie zranionego do szpitala, lekarze opatrzyli wprawdzie ranę i usunęli z uszkodzonego mózgu odłamki kości, nie przypuszczali jednak, aby pacjent ich mógł żyć. Tymczasem ku zdumieniu ich Spewak nietylko żyje, ale powraca już do zdrowia, przyjmuje pożywienie i rozmawia z otoczeniem. Dopiero wszakże przyszłość wykaże, o ile straszliwa rana wpłynie na jego władze umysłowe i fizyczne.

Zakaz gry w karty w Rumunji. Rumuński minister sprawiedliwości wystosował okólnik do wszystkich sędziów i urzędników sądowych w całej Rumunji, w którym stwierdza, że gra w karty jest poniżającem zajęciem, wskutek czego zakazuje im wszystkim grania w karty i należenia do klubów karcianych. Każdy sędzia i urzędnik, który przekroczy ten zakaz, traci automatycznie półmiesięczną pensję, a prócz tego podlega komisji dyscyplinarnej, która ma prawo zawiesić go w urzędowaniu, a nawet zupełnie usunąć ze służby. Zarządzenie to jest zupełnie słuszne; należałoby je i u nas zaprowadzić.

Wstrząsająca katastrofa samochodowa. W pobliżu Commercu pod Bar-le-Duc we Francji, wydarzyła się wstrząsająca katastrofa samochodowa, w której 6 osób żywcem spłonęło a 12 osób uległo bardzo ciężkiemu poparzeniu i połamaniu rąk i nóg. W chwili, gdy dwa wielkie samochody wycieczkowe, wypełnione pasażerami, znajdowały się w drodze do Verdun, jeden z nich w pobliżu miejscowości Commercu usiłował wyprzedzić drugi. Jadący jednak z tyłu samochód zaczepił błotnikiem o koła przedniego samochodu i strącił go w urwisko głębokości 6 metrów. Skutkiem upadku nastąpił wybuch zbiornika z benzyną i samochód stanął momentalnie w płomieniach. Z płonącego auta część pasażerów zdołała się wyratować, reszta poniosła śmierć w płomieniach lub uległa bardzo ciężkim obrażeniom. Pasażerowie drugiego auta, którzy pospieszyli z pomocą nieszczęśliwym, zdołali wydobyć już tylko zwłoki 6 osób i 12 osób bardzo ciężko rannych z połamanemi rękami i nogami. Rannych w stanie beznadziejnym odwieziono do szpitala.

Kosztowny pocałunek. Pan Fitz Gerald z Kalifornji miał miljony, najpiękniejszy samochód i przyjaciółkę Lou Tresler. W upalny dzień lipcowy postanowiono urządzić wycieczkę w góry Stokton, i zabrać ze sobą przyjaciółkę przyjaciółki, panią Wiliamson. Pani Lou Tresler prowadziła samochód, a przyjaciółka z tyłu pilnowała piesków. W ten sposób dojechano do gór Stokton. Gdy ze szczytu góry p. Gerald zobaczył jeden z najrozleglejszych widoków, uczuł się z tego piękna natury tak szczęśliwy, to też zdawało mu się, że... tylko pocałunek p. Lou zaspokoi jego szczyt marzeń.

— Pocałuj najdroższa — rzekł, zwracając się do sąsiadki.

Pocałunek był tak zawrotny, że samochód przez ten czas przejechał cyklistę, Gustawa Kleina i znalazł się w rowie, przyczem pani Williamson odniosła ciężkie rany. Wniosła ona skargę sądową przeciwko p. Geraldowi o odszkodowanie, to samo zrobił poszkodowany cyklista. Przed kilku dniami odbyła się rozprawa. Sąd skazał p. Geralda na zapłacenie 11.847 dolarów odszkodowania pani Williamson i 6 tysięcy dolarów panu Kleinowi. Tak więc koszt jednego pocałunku wyniósł gotówką 17 847 dolarów i nadto zdruzgotany samochód.

Tygrys na pokładzie okrętu. Pasażerowie okrętu niemieckiego „Lahn", który znajdował się w podróży na morzu Śródziemnem, przeżyli chwile strasznej trwogi, gdy tygrys, wieziony w klatce z Singapore do Londynu wyrwał się na wolność. Tygrys pogruchotał kości jednemu z marynarzy, poczem rzucił się na pokład, szerząc panikę wśród pasażerów. Jeden z pasażerów porwał płonącą pochodnię i rzucił na tygrysa. Zwierzę uciekło ze strasznym rykiem do salonu okrętowego. Kilku marynarzy i kapitan rzucili się z rewolwerami w ręce do salonu, ażeby ubić rozjuszone zwierzę. Jednakże tygrys pomimo kilku ran poranił straszliwie 5 marynarzy, poczem uciekł na pokład. Zdołano go przymknąć w kuchni okrętowej i ubezwładnić przy pomocy strzałów przez okno.

RZECZY CIEKAWE.

Cebula lekarstwem.

Niejeden się zdziwi, a szczególniej gosposie, że tuż pod ręką mają znakomity środek lekarski. Już ostry, gryzący zapach cebuli wskazuje, że jest to roślina niezwykła, że zawiera w sobie coś, co niemały wpływ wywiera na organizm ludzki.

U nas używają cebuli tylko jako przyprawy do potraw, o leczniczych własnościach cebuli prawie nikt nie słyszał.

Przedewszystkiem cebula ułatwia trawienie. Ten, co je cebulę, czuje się wesołym i swobodnym, nie cierpi na żadne uciskanie w żołądku. Dlatego to w ciepłych krajach, gdzie już sama temperatura człowieka przygniata, chętnie jadają cebulę. Trzeba jednak zachować miarę w jedzeniu cebuli, bo nadmiar szkodzi.

Kto doznał zgniecenia, niechaj naciera zgniecione miejsca sokiem z cebuli, a ból wkrótce ustanie.

To nacieranie używa się i przy zatwardzeniach, szczególnie u dzieci na głowie. Nacieranie odwarem z cebuli usuwa wyrzuty.

Jak widzimy więc, cebula nie jest tak pospolitą rośliną, za jaką ją zwykliśmy uważać. Niejeden znajdzie znakomity środek na swą dolegliwość. Piszą, że w niektórych krajach zamiast kieliszka wódki lub koniaku, podają przy obiedzie na apetyt pieczoną cebulę. Bardzoby zyskali na zdrowiu nasi ludziska, gdyby zamiast pić tę przeklętą truciznę, jaką jest alkohol, zaprowadzili u siebie ten chwalebny zwyczaj.

Józef Górecki.

Okrucieństwa fanatyzmu.

W Marokko obchodzi się dzisiaj jeszcze rocznicę narodzin proroka Mahometa według dawnych tradycyj okrutnego kultu, który zapewne jest jednym w swoim rodzaju zabytkiem zamierzchłych przesądów religijnych. Rozpoczynające się dnia 28 lipca, a trwające do końca sierpnia święto zagaja pochód wiernych, udających się wśród dzikich tańców i śpiewów, przy dźwiękach bębnów i hałaśliwych instrumentów muzycznych do meczetu. W czasie tego pochodu trwającego mimo niewielkiej odległości 8 godzin, uczestnicy dopuszczają się na sobie i innych niesłychanych okrucieństw. Starcy i mniej odważni Maurowie tak długo pozostają z obnażonemi głowami w słońcu, aż upadną omdleni. Inni zadają sobie krwawe rany zapomocą noży lub każą się do krwi biczować albo ranić toporami. Inni jeszcze połykają szerokie pasy palącej się tkaniny wełnianej lub gryzą szkło, aż krew bucha im strumieniem z ust i gardła. Do zwykłych umartwień należy także picie gorącego wosku i innych płynów gorących lub wystawianie ciała na krwawe ukąszenie żmij. Typowym obrządkiem tego okrutnego święta jest także połykanie świeżego, jeszcze gorącego mięsa baraniego, które tłum zdobywa przez rozszarpanie żywych zwierząt.

Największy dywan na świecie.

Pomimo kryzysu materjalnego nie przestali Amerykanie ubiegać się o pierwszeństwo na wszystkich polach. Ostatnio mogą się pochlubić jeszcze jednym zdobytym rekordem: posiadania największego dywanu na kuli ziemskiej. Pod tym względem pobili nawet swój własny rekord. Największym dywanem, jaki istniał dotychczas na świecie, był rozłożony w przedsionku teatru Roxy w Nowym Jorku. Waży on dwie tonny i do czyszczenia go dwa razy do roku potrzebna jest praca 36 osób. Świeżo nabyty przez Amerykę dywan zapewnia jej niepodobny już chyba do pobicia rekord. Dywan ten pokrywa posadzkę przedsionka nowego Hotelu Waldorf Astoria. Ma on 35 metrów długości i 30 szerokości. Sfabrykowany został w Czechosłowacji, gdzie w ciągu 10 miesięcy pracowało nad wykończeniem go 35 wykwalifikowanych robotnic, które dokonały pracy zawiązania przeszło 12 miljonów supełków, składających się na skomponowany przez specjalnego artystę deseń tego olbrzymiego dywanu.

Z jakiemi pannami nie należy się żenić?

Dr R. Gerling wygłosił w Wiedniu odczyt o przyczynach nieszczęśliwych małżeństw, na temat: „Z jakiemi pannami nie należy się żenić?" Prelegent ustalił zasadę, że tylko ludzie fizycznie i duchowo zupełnie zdrowi mają prawo zawierać małżeństwo, a decyzja o tem powinna należeć do doktora. Wyłączeni powinni być syfilitycy, umysłowo chorzy, ludzie z organiczną wadą serca i chorzy na nerki. Również dziedzicznie obciążeni powinni wyrzec się małżeństwa. Nadewszystko trzeba unikać dzieci nałogowych pijaków. Choć pozornie zdrowi, mają oni zawsze jakiś defekt, a także są gwałtowni i nie panują nad sobą. Jako niezdolnych do małżeństw zalicza Dr Gerling dość dużą grupę kobiet, które nazywa „niedorozwiniętemi". Mogą one być zdrowe, ale nie nadają się na matki. Bywają to bardzo często jedynaczki. Zdradzają często skłonność do chorób kobiecych, nie umieją wychowywać dzieci, nie są zdolne do pracy umysłowej, są uparte, egoistki i zarozumiałe.

Jeżeli pochodzą z zamożnych domów, tworzą typ „modnych lalek". Zewnętrznie te kobiety odznaczają się szeroką szczęką, cienką szyją, krzywemi nogami, uderzającą małą głową z cofniętem czołem i dziecinnym profilem. Przestrzega również Dr Gerling przed pannami, które palą namiętnie papierosy. Nie trzeba być „aż zacofanym", ale kobieta z papierosem wcale nie budzi zaufania..., natomiast traci szacunek o kilkanaście szczebli. Kobiety, które palą, bywają przeważnie anemiczne, cierpią nerwowe bóle serca, mają skłonność do wczesnej sklerozy i są mało usposobione do macierzyństwa.

Najwięcej jednak należy się wystrzegać panien z wrodzoną kokieterją. Czy urodzone w pałacu, czy też w chacie, nigdy nie potrafią być wiernemi żonami. Tym kobietom odpowiada równy procent mężczyzn, podobnie usposobionych, którzy nie dochowują wierności żonom. Cechami takich ludzi według Dra G. są: gruba, zwisająca dolna warga, mięsiste i gąbczaste ręce, wpadnięte oczy, duży nos, silne pismo. W poglądach swoich Dr Gerling zgadza się z teorjami Weiningera, znanemi z jego dzieła p. t. „Płeć i charakter".

Zwyczaje skorpionów.

Samica skorpiona nosi troskliwie młode na grzbiecie. Jednak gdy któreś z jej dzieci zleci na ziemię, zjada je natychmiast. Znowuż, gdy młode skorpiony dorosną i nabiorą sił, pożerają matkę.

Sny.

Sny były od najdawniejszych czasów, i są po dziś dzień, obfitem źródłem zabobonów. Chociaż

w starym Testamencie mamy przykłady snów proroczych, to nie należy z tego wnosić, ażeby każdy sen miał swoje znaczenie. Tamto działo się w takich okolicznościach i do takich ludzi Bóg przemawiał we śnie, że to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Dzisiaj do każdego snu należy zastosować przysłowie: „Sen mara, Bóg wiara“.

Chcąc jednak przekonać czytelników, i wykorzenić tak bardzo rozpowszechniony zabobon, odpowiemy sobie na pytania: Co to jest sen? Co można ze snu poznać? Jak się trzeba zachować, gdy nam się coś śni?

Cóż to są sny?

Sny są igraszką naszej wyobraźni, spowodowane przez przyczyny wewnętrzne. To, o czem człowiek na jawie myślał, co słyszał lub widział, czego pragnął lub obawiał się, to mu dusza we śnie przedstawia. Powstanie więc snu zależy od usposobienia serca i ciała naszego.

Z tego wysuwa się już wniosek, co ze snu można poznać? Ze snu można poznać charakter i sposób myślenia człowieka. Sny dopomagają nam do poznania samego siebie. Nasza bowiem miłość własna, ukrywa przed nami nasze wady i niegodziwości, zaś sen przedstawia je nam w ich prawdziwym stanie. I tak np. skąpemu będzie się śniło, że pieniądze zgromadza; mściwemu, że nieprzyjaciela swego gnębi i dusi; nieczystemu, różne sprośności i ohydy itd.

Poznawszy więc naszą duszę, starajmy się ją wprowadzić na właściwą drogę. Nigdy nie trzeba ze snu odgadywać rzeczy przyszłych, bo to jest bezrozumne. W rękach Boga cała nasza przyszłość i nikt nie wie, co go czeka. Dlatego też starajmy się wykorzenić z pośród nas ten głupi zabobon, a sny obróćmy ku zbawieniu naszej duszy. *Józef Górecki.*

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Jan Bąkała** w O.: Niestety, ustawy takiej niema, więc trzeba płacić samemu. A słuszną byłoby rzeczą, aby rząd przyszedł z pomocą. Trzeba domagać się wyjednania takiej ustawy od posłów. Narazie z powodu ogólnego kryzysu będzie to trudno, ale może później da się coś uzyskać. **Wojciech Lorenc** w Ł.: Owszem, są przeznaczone do druku. **Jan Skwara** w D.: Oczywiście, w poprzednim numerze „Roli“ zaszła pomyłka w „Odpowiedziach Redakcji“, złożono w drukarni 600 zamiast 60 kilogramów miodu. Bagatelka! **Marja Waller** w Rz.: Za przesyłkę serdecznie dziękujemy i życzymy „Szczęść Boże“ w rozpoczętej pracy. Stowarzyszenia owego nie znamy. Możeby można do Związku literatów w Krakowie. **„Młot“** w K.: „Trucicielki“ otrzymaliśmy, po przeczytaniu odpowiemy obszerniej. **Alfons Czader** w S. W.: Przesłane szarady zamieścimy. **P. Kacynel** w D.: W utworach Pańskich znać talent, ale forma jeszcze nie opanowana, przeto nie nadają się do druku. Niektóre zwrotki są zupełnie dobre, gdy nagle odezwie się jakiś zgrzyt, który psuje zupełnie całość. Nie należy pisać dużo, ale jedną rzecz trzeba opracować dobrze, wówczas i forma prędzej się wyrobi. **Karol Spadzień** w D.: Pomimo, że odczytywanie długich utworów, pisanych niewprawną ręką, pochłania zbyt dużo czasu, czytamy je chętnie i oceniamy jak najsumienniej. Jeżeli nawet jakiegoś utworu nie drukujemy, to nie trzeba się zrażać, gdyż każdy początek trudny. Nie uda się jeden, może się udać drugi. Najważniejsza jednak rzecz, trzeba samemu czytać bardzo dużo. **Michał Miklas** w N.: Nie możemy występować ani przeciw żadnej narodowości, ani przeciw żadnej religji. Dwie te rzeczy dla każdego są święte, a obcych świętości obrażać nie wolno. **Jan Kozak** w S.: Wiersze Pańskie tak podobne do poezji, jak pięść do nosa. Szkoda papieru, pióra i atramentu. **Janka Ochalska** w D.: Życzymy powodzenia w nowym stanie. Trzymać męża przy sobie miłością, a nie terorem. Z pod teroru wyłamać się może, z pod miłości nigdy. **Czytelnicy z Wieliczki:** W następnym numerze odpowiemy obszerniej.

Zagadki do nagrody.

1. Konikówka.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz.).

za	to	mie	co	po
w tłu	u	mo	zwykł	że
wsze	mę	bić	tem	żesz
ro	znać	mie	on	tyl
go	za	ko	po	wyż
		sze		

Ruchem konika szachowego odczytać złotą myśl A. Mickiewicza.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Wojciech Lorenc z Ł.).

Kiedy wam chcę ptaka domowego przed-
[stawić,
Muszę pół pierwszej pół drugiej i trzecią
[wyjawić,
Gdy już to wam powiedziałem,
Znów z trzecią pół pierwszej wyleciałem,
Która wam skorupiaka oznaczy,
Zaś pół pierwsza z trzecią,
Bryłę lodu tłumaczy;
Lecz i na tem końca nie macie,
Bo wyraz „puka“ w ten czas odgadniecie,
Gdy drugą, jedną z pierwszej, pół trzeciej
[weźmiecie,
A całość co oznacza? Tyle tylko powiem,
Że nazwisko śpiewaka.

II.

Ułożył Józef Górecki z K.).

Jeden dwa kraina znana,
Trzecie to fonetycznie litera,
Dodam, beka ją zawiera,
Całość dawniej używana.

III.

Pierwsze drugie to siła,
Używana dzisiaj już,
Trzecia nazwą pana była,
Całość bezpieczeństwa stróż.

3. Łamigłówka zoologiczna.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Kawka, indyk, pelikan, gawron, perliczka, krocionóg, soliter, kusak, osa.

Z powyższych wyrazów wyjąć po jednej literze i tak je ułożyć aby dały nazwę gryzonia.

4. Logogryf podwójny.

(Ułożył Józef Górecki z K.).



Imię żeńskie.
Dawny pisarz.
Małpy wspak.
Barwik marchwi.
Są w muzyce.
Opat klasztoru grec. kat.

Litery w miejscach kwadracików czarnych, czytane z góry na dół i naodwrót dadzą rozwiązanie.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 4 września b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 33 „Roli“: 1. Konikówka: „Przez wiek cały już nigdy bez zgryzot nie uśnie, kto młode lata swoje przemarnował gnuśnie“. 2. Szarady: I. Tomasyna, II. Sikora. 3. Zagadki humorystyczne: I. Komary. II. Parowce. 4. Logogryf: Rozszerzajcie „Rolę“.

W oznaczonym czasie rozwiązanie wszystkich zagadek nadesłali pp.: Józef Cieplik z K., Józef Górecki z P. W., Władysław Gąsienica z Z., Jan Stypuła z L., Rudolf Bieroński z Cz., Jan Gara z W., Teofil Burman z K., Karolina Sikawska z N., Alfons Czader z S. W., Józef Kluz z B., Wojciech Lorenc z Ł., Leopold Wołek z B., Dynokrat Fiałek z H., Jakób Jeziorański z K.

Nagrody wylosowali pp.: Karolina Sikawska z N. i Jan Stypuła z L.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W szkole.

— Co jest widomym znakiem chrztu?

— Dziecko, proszę księdza proboszcza!

Już gotowy.

Stryj (przy pożegnaniu, do pozostającego w mieście bratanka): — A więc bądź zdrów, drogi Bolku! A jakbyś tam potrzebował kiedy trochę grosza, to napisz.

Bratanek: — Proszę stryjaszka, ja... właściwie... to już mam taki list gotowy!

Skuteczna woda.

— No cóż, żona pańska używa tej wody mineralnej, którą jej przepisałem? Jakiż skutek?

— Wyborny, panie doktorze, wczoraj butelką tej wody rzuciła na mnie i zaraz jej się lepiej zrobiło.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 25 sierpnia b. r.

Pszenica	23·00—23·50	**Słoma długa**	6·00—6·50
Żyto	21·50—22·00	**Ziemniaki stoł.**	0·00—00·00
Owies	20·00—21·00	**Koniczyna nasienn. czer.**	000·00—000·00
Jęczmień	19·00—20·00		
Fasola biała	36·00—40·00	**Mąka żytnia**	37·00—38·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	**Mąka pszen.**	46·00—47·00
Siano słodk.	12·00—13·00	**Otręby pszen.**	14·00—14·50
Łubin żółty	00·00—00·00	**Otręby żytnie**	14·00—14·50
Koniczpastew.	15·00—16·00	**Mąka czerw.**	17·00—18·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy
w dniu 25 sierpnia b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje	od 0·95 do 1·06 zł.	**Jałownik**	od 0·90 do 1·02 zł.
Woły	od 1·03 do 1·12 zł.	**Cielęta**	od 1·15 do 1·25 zł.
Krowy	od 0·80 do 0·89 zł.	**Kozy i barany**	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·60 do 1·80 zł.	**Nierogaciznę ciężkiej wagi**	od 2·20 do 2.35

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Zaległe numera „Roli" od Nowego Roku posiadamy w zapasie.